

Janopole
Romera A.

NA
Z
W
I
E

Cena 20 sant

ŻYCIE

POLSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

— Zwołuję młodzież
całego świata do Tokio

— tem wezwaniem zakończone zostały
XI Igrzyska Olimpijskie w r. 1936 w
Berlinie.

Uroczą Japonek z kraju białego kwia-
tu wiśni przeżyła pozdrowienie całego
świata.

Za cztery lata witac ona będzie wraz
z całą Japonją przybywających do Tokio
uczestników i gości XII Olimpiady — tym
razem — i poraz pierwszy — w Azji.

Rok II

Pyga, 30 sierpnia 1936 r

№ 36 (89)



Prezydent Państwa dr. K. Ulmanis w Górnej Zemgalji

TYDZIEŃ

— Ubiegłą sobotę, niedzielę i poniedziałek Prezydent Państwa Dr. K. Ulmanis spędził w górnej Zemgalji, odwiedzając zarządy gminne, szkoły, instytucje komunalne i społeczne etc.

Prezydent Państwa odwiedził m. in. też Subatę i Ilukstę.

Prezydent Państwa Dr. Karlis Ulmanis
na wieczorku filji Swenteńskiej ZPM.

Odbywając podróż po Zemgalji Prezydent Państwa Dr. K. Ulmanis w niedzielę dnia 23-go b. m. zawiązał do Swenty wraz ze swą asystą. W Swencie Prezydent Państwa zwiedził kościół, urząd gminny, szkołę miejscową oraz udał się do Domu Aizsargów, w którym właśnie odbywał się otwarty wieczór taneczny filji swenteńskiej ZPM. Pan Prezydent przywitał się z młodzieżą i prowadził z nią jakiś

czas ożywioną rozmowę. Przybycie Pana Prezydenta było zupełną niespodzianką nie tylko dla młodzieży polskiej, ale i dla całej ludności swenteńskiej, to też ogromnie wszystkich zaskoczyło, zdziwiło i rozradowało. Bezpośrednia styczność Głowy Państwa z ludnością tak szeroko praktykowana od dłuższego czasu przez Dr. K. Ulmanisa stała się również rzeczywistością w powiecie Ilukstańskim.

Pan Prezydent poczynił pewne zakupy na zabawie w bufcie oraz nabył 50 biletów ze studni szczęścia, otrzymując wzamian 50 najprzeróżniejszych drobniaków, przeważnie praktycznego znaczenia, którymi zajął się adjutant Prezydenta.

Prezes filji ZPM Zygmunt Siucillo wręczył Panu Prezydentowi wiązanek kwiatów, za które Pan Prezydent podziękował młodzieży (es)

Z poczyznań Rządu

Minister A. Berzińsz w obozie instruktorskim w Garezeri. W sobotę, dnia 22 sierpnia, popołudniu obóz instruktorski odwiedził minister A. Berzińsz w towarzystwie dyrektora departamentu szkół zawodowych J. Zubanisa oraz przedstawicieli prasy.

Gości przywitał kierownik kursów naczelnik skautów T. Baltpurwińsz. Minister przewodził do uczestników kursu instr., przypominając im znaczenie ich pracy w stosunku do młodzieży, społeczeństwa oraz państwa. Następnie Minister zrobił przegląd obozu oraz ciekawił się urządzeniem muzeum skautowego, gdzie przeważnie wystawione są roboty skautów z obozownictwa: różnego rodzaju szalasy, ogniska, kuchnie polowe i t. p. i t. p. Zaznaczyć należy, że w tej robocie nieucztyo żadnego gwoździa.

Po przeglądzie Minister opuścił obóz. Pozostali goście zasiedli do wspólnego obiadu. Dyrektor J. Zubans wyraził również swe uznanie za pracę oraz urządzenie obozu. W imieniu Ministerstwa oświaty życzył i nadal owocnej i pomyślnej pracy w wychowaniu młodzieży.

— Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zatwierdziło ostatnio umowę, zawartą pomiędzy samorządami Daugawpilsu i Rezekne, o dostarczaniu przez elektrownię daugawpilską prądu dla Rezekne.

W tym celu Daugawpilski Samorząd rozpocznie niebawem budowę linii elektrycznej długości 95 klm., łączącej Daugawpils z Rezekne.

Według umowy Rezekne jest zobowiązane do zużycia w ciągu roku co najmniej 400.000 kilowatów energii elektrycznej. Koszt jednego kilowata wyniosą dla Rezekne 13,5 sant.

Umowę zawarto na 10 lat.

INSTALUJE I NAPRAWIAM ELEKTRYCZNOŚĆ I WSZYSTKIE PRZYRZĄDY ELEKTRYCZNE.

Instaluję radio, dostarczam lamp elektrycznych i radiowych z 10% rabatem w dużym wyborze.

Przy większych zakupach udzielam na raty. Zgłoszenia kierować osobście lub listownie:

Stefan Sawicki

(Marijns izla 17—8).

— Do Jecawy w związku z 360-leciem miejscowego kościoła oraz w związku z uroczystością odsłonięcia pomnika bohaterom poległym za wolność Łotwy przybył w dniu 25 sierpnia minister A. Berzińsz. Minister A. Berzińsz wygłosił w Jecawie przemówienie oraz dokonał aktu odsłonięcia wspomnianego wyżej pomnika.

— W majątku Wahole odbyła się w ub. tygodniu uroczystość „Dni Włościańskich” powiatu Liksnieńskiego i okolic. W święcie wzięło udział przeszło 2000 osób.

— Ryska Miejska Polska Szkoła Podstawowa wieczorowa i dokształcająca przyjmuje uczniów codziennie (za wyjątkiem sobót i niedziel) w godzinach 6—8 wiecz.

Dla niezamożnych uczniów są przewidziane zapomogi.

— Jak zdobyć maturę 1-go stopnia. Kierownik referatu polskich spraw oświatowych przy Ministerstwie R. Ciesiulewicz powiadamia, że osoby, które skończyły gimnazjum ze świadectwem 11-go stopnia, mogą uzyskać maturę 1-go stopnia przez ponowne wstąpienie do ostatniej klasy gimnazjum lub przez składanie egzaminów maturalnych przy ministerstwie Oświaty.

Egzamina te w tym roku rozpoczynają się 5 października (język łotewski). Byli uczniowie gimnazjów polskich mogą składać egzamina w Ministerstwie Oświaty w języku polskim.

Osoby zainteresowane mogą zasięgnąć bliższych wiadomości w tej sprawie w Ministerstwie Oświaty u referenta R. Ciesiulewicza.

— Minister Oświaty prof. A. Tenteis brał udział w tygodniu ub. w uroczystościach „Dnia nauczycielskiego” w Cesis.

— Wice-minister Oświaty J. Czarnis podpisał rozporządzenie, które poleca kierownikom szkół upiększenie lokalów

Wiadomości bieżące

— W majątku Jania pod Cesis w dniach 22 i 23 b. m. odbyła się konferencja ministrów spraw zagranicznych Łotwy (W. Munter), Estonji (Fr. Akels) i Litwy (St. Łozorajtis). Na konferencji omówione zostały sprawy, znajdujące się na porządku dziennym kolejnej sesji Ligi Narodów, która się ma odbyć we wrześniu b. r.

We wszystkich zagadnieniach, poruszonych na konferencji, przedstawiciele trzech państw Bałtyckich doszli do całkowitego i zgodnego porozumienia.

— 40 kolejarzy z Estonji w tygodniu ub. przybyło do Łotwy w celu zwiedzenia najciekawszych miejscowości kraju.

— W Rydze w miejskich bibliotekach zarejestrowano 62.454 stałych czytelników. Oprócz bibliotek stałych, w stolicy, zwłaszcza na przedmieściach, zorganizowano 19 punktów rozdzielczych książek, z których korzysta 11.081 stałych czytelników, czyli na każdy punkt przypada przeciętnie 585 osoby.

— Daugawpilska Ochotnicza Straż Ogniowa obchodziła w ub. niedzielę 60-lecie swego istnienia i pracy. Na uroczysty obchód tej rocznicy przybyli do Daugawpilsu przedstawiciele straży ogólnych z Polski, Czechosłowacji i Estonji.

W szkolnictwie

szkolnych oraz otaczających te lokale ogródków, podwórków etc.

— W jednym z numerów gazety „Rīts” ukazał się ostatnio ciekawy artykuł E. Purina p. t. „Jakiemi drogami podążają absolwenci gimnazjów”.

Materiał do swego artykułu autor zaczerpnął ze źródeł, w których koncentruje się kierownictwo miejskich gimnazjów (łotewskich, polskich, niemieckich, rosyjskich, żydowskich etc) w Rydze. Na podstawie tego materiału udało się zbadać dane, co do obecnej sytuacji 3069 osób, które ukończyły gimnazja w stolicy w latach 1925—1935.

Na początku — o młodzieży łotewskiej, kończąc studja. Oto, jak wykazują statystyki, przeciętnie 60 proc. tej młodzieży (męskiej) wstępuje na uniwersytet: przedewszystkiem na prawo, inżynierię, rolniczy, medycynę. Ze szkół specjalnych, przeznaczonych dla absolwentów gimnazjalnych, wybierano początkowo szkołę wojskową, ostatnio — instytut nauczycielski, pedagogiczny, języka angielskiego etc.

Największa ilość z tych, którzy nie kontynuowali studjów poświęciło się pracy urzędniczej (50 proc.). Procent absolwentów gimnazjów niemieckich, wstępujących na uniwersytet, wynosi 39,3. W wypadkach, w których młodzież niemiecka

W ŁOTWIE

SPORT

— Międzynarodowe zawody hipiczne, jak już donosiliśmy, rozpoczynają się w stolicy w dniu 29 b. m. i będą trwały do 6 września b. r. W zawodach, oprócz najlepszych jeźdźców łotewskich, wezmą udział jeźdźcy polscy, norwejscy, oraz w. m. Gdańska. Poraz pierwszy w Rydze w skokach przez przeszkody startują wraz z jeźdźcami - mężczyznami jeźdźcy-kobiety (amazonki). Są to dwie reprezentantki Norwegii (Kwista i Nordana) oraz 2 reprezentantki Łotwy — Kaniępa z Rezekne oraz Frank z Rygi).

— Rozgrywki o mistrzostwo Łotwy w tenisie rozpoczęły się w dniu 27 b. m. w stolicy.

Na froncie gospodarczym

— Dyrektor Biura zakupu zboża A. Kaksis w rozmowie z przedstawicielami prasy omówił m. in. działalność Biura w ciągu sześcioletniego okresu jego funkcjonowania.

Jak wynika z informacji dyr. A. Kaksisa, Biuro zakupiło dotychczas u rolników: 311.578 ton żyta, 215.876 ton pszenicy, 19.019 ton owsa, czyli razem — w przeciągu 6 lat — 558.931 ton na ogólną kwotę 102.219.764 latów.

Z ilości tej na rynku miejscowym sprzedano 106.929 ton żyta, 142.154 ton pszenicy, 500 ton jęczmienia oraz 5087 ton owsa — razem 253.012 ton na sumę 64.060.621 latów.

Zagranicę eksportowano: 204.649 ton żyta, 71.838 ton pszenicy, 18.424 ton jęczmienia oraz 5911 ton owsa — razem 300.822 ton.

W roku bieżącym, z powodu posuchy, urodzaj znacznie się obniżył i dlatego rolnicy zgłosili do sprzedania mniejsze ilości zboża niż w roku ubiegłym, a mianowicie (w nawiasach cyfry z roku 1935) żyto — 74.286 ton (133.881), pszenica — 59.982 ton (112.677), jęczmień — 34.702 (70.835) oraz owies — 32.849 (31.535).

Jakie ilości z zarejestrowanego (zgodzonego) zboża zostaną zakupione — jeszcze nie wiadomo.

Zakupy rozpoczęły się już 20 sierpnia b. r. Zboże — po cenie zeszlatorocznej — przyjmują elewatory i składy w Rydze, Jelgawie, Walmiera, Bauska, Skrundzie, Liepai, Wentspilsie oraz w Daugawpilsie. Od 6 września skupowanie zboża wzorem lat ubiegłych rozpocznie się za pośrednictwem wędrownych przedstawicieli na wszystkich stacjach kolejowych w całym Państwie.

Przedeszytciem skupione zostanie żyto i pszenica, poza tem owies i jęczmień, o czym nastąpi osobne powiadomienie.

— Przewodniczący Izby Rzemieślniczej E. Rozītis mianował na stanowisko kierownika Rady Rzemieślniczej w roku 1936 członka Izby K. Samtina oraz jako jego zastępcę — G. Łazdina.

Ponadto mianowani zostali członkowie Rady Rzemieślniczej.

Zadaniem nowo-powołanej Rady Rzemieślniczej będzie współdziałanie (wraz z inymi powołanymi przez Izbę komórkami organizacyjnymi) w organizacji nau czania rzemieślniczego.

— W związku z nieznacznym podwyższeniem cen na koks opałowy (przebiegnię o trzy łaty za tonę), nie powinna nastąpić — według oświadczenia zastępcy inspektora cen płk. J. Spilwy — zwyżka kosztów centralnego ogrzewania, ponieważ koszty obecne tego ogrzewania pokrywają się całkowicie z nowymi cenami koksu.

W niedzielę 30-go sierpnia b. r. o godz. 7 wieczór w ogrodzie kościelnym na Czerwonej Daugawie (Meža prospekts 86) odbędzie się

przedstawienie religijne p. t. „Tajemnica Spowiedzi”

jak również loterja, która będzie czynna już od godz. 12 w południe.

Bilety dla dorosłych w cenie od Łs 0,50 do Łs 2.—, dla uczni, żołnierzy i aizsargów po Łs 0,10 z wczasu można nabyć w kancelarii Kościoła parafii Matki Boskiej Bolesnej i przy wejściu na przedstawienie.

Dochód przeznaczają się na budowę kościoła im. Chrystusa Króla na Czerwonej Daugawie.

Wszystkich katolików bardzo serdecznie zapraszamy.

nie kontynuuje studjów — stara się ona o pracę w jaknajbardziej praktycznych zawodach (handel, przemysł, rzemiosło etc.). Charakterystycznym dla młodzieży niemieckiej jest odbywanie natychmiast po ukończeniu gimnazjów służby wojskowej.

Młodzież rosyjska z gimnazjów w Rydze kieruje się na wyższe studia w 56 proc., do praktycznych szkół rzemieślniczych w 5,0 proc., bezpośrednio do pracy w 10,2 proc. (9 proc. znajduje zatrudnienie w charakterze urzędników), bez określonego zajęcia pozostaje 30,8 proc.

Autor artykułu zajmuje się również losem absolwentów polskich gimnazjów. Pisze on na ten temat co następuje:

— „Z absolwentów polskiego gimnazjum studjuje 11 proc., wybierając w pierwszym rzędzie medycynę oraz nauki inżynieryjne. Mniejszą uwagę zwraca się na prawo, architekturę, farmaceutykę, rolnictwo, filologję, dentystykę. 16 proc. idzie do szkół specjalnych — wojskowej i morskiej. 19 proc. pracuje w przemyśle. Mniejsza ilość pracuje jako urzędnicy, w handlu, niektórzy uczą się na lotników. 12 proc. bez specjalnego zatrudnienia. 12 proc. natychmiast po ukończeniu gimnazjum idzie do wojska.

Widzimy, że młodzież polska nie wybiera specjalnie w dużej mnogości zawodów. Jednak podejście jej do pracy jest bardziej praktyczne niż młodzieży rosyjskiej i dlatego w pracy, noszącej przyrodki charakter, spotykamy mniej młodzieży polskiej niż rosyjskiej.”

Z młodzieży żydowskiej studjuje tylko 23 proc., natomiast 58 proc. przygotowuje się odrazu po gimnazjum do pracy praktycznej (29 proc. w handlu, 29 proc. w przemyśle, jako praktykanci). Bez określonego zajęcia znajduje się 15 proc. młodzieży żydowskiej i tylko jeden przedstawiciel tej młodzieży skierował się natychmiast po ukończeniu gimnazjum do wojska.

Jeśli chodzi o absolwentki, to z Polek — według autora — studjuje dalej 15 proc., przyczem wybrały one filologję, farmację, prawo, dentystykę względnie (12 proc.) specjalne szkoły wyższe, jak instytut komercyjny, instytut angielski, instytut wychowania fizycznego etc.

30 proc. Polek pracuje, z czego 15 proc. jako urzędniczki (głównie na kolei), w charakterze nauczycielek, w handlu (jako ekspedjentki i kasjerki), mniej w przemyśle etc.

43 proc. pozostaje w domu bez określonego zajęcia.

Najmniej, bo tylko 7 proc., studja kontynuuje Żydówek. 50 proc. z nich znajduje zatrudnienie w pierwszym rzędzie w handlu (33 proc.), w przemyśle (12 proc.) etc.

PAŃSTWOWE POLSKIE GIMNAZJUM W RYDZE (Torņa iela 4) poszukuje nauczyciela matematyki, pełnoprawnego (21 lekcji tyg.), posiadającego jęz. polski i nauczyciela języka łacińskiego, filol.-klas. (8 lekcji tyg.).

Podania oraz dokumenty o wykształceniu należy złożyć w kancelarii szkolnej.

Nadesłane

Konsulat Rzeczypospolitej w Daugawpilsie zawiadamia obywateli polskich stale zamieszkałych w Łotwie w powiatach: Daugawpils, Rezeknes, Łudzas i Ilukstes, którzy w roku bieżącym ukończyli lub ukończą lat 18, że obowiązani są w czasie od dnia 30 września do 30 października r. b. zgłosić się do Konsulatu R. P. w Daugawpilsie (Daugavpils, Pulkv. Brieža iela 10) celem zarejestrowania się, pod osobistą odpowiedzialnością za niedopełnienie tego obowiązku na zasadzie § 267 pkt. 5 Rozp. Wykora. do Ustawy o powszechnym obowiązku wojskowym.

Osoby nie mogące dla ważnych powodów zgłosić się osobiście, obowiązane są zawiadomić o tem Konsulat, który prześle im potrzebne deklaracje.

Konsulat R. P. w Daugawpilsie

19 września b. r.

POLSKIE RZ.-KATOLICKIE TOWARZYSTWO DOBROCZYNNOSCI W LIEPAI

urządza

wieczór dochodowy i loterję

Całkowity dochód z wieczoru przeznaczają się na utrzymanie polskiej ochronki. Zarząd Towarzystwa uprzejmie uprasza wszystkich Rodaków o jaknajliczniejsze składanie fantów na loterję.

Fanty przymują się w lokalu Dobroczynności (Baseina 8) od godz. 5 do 8 wiecz. codziennie.

Z tygodnia

Pod znakiem okrucieństwa i terroru

WIĘCEJ OKRUCIENSTWA NIŻ W CZASIE REWOLUCJI ROSYJSKIEJ. Rzym. „Observatore Romano“ zamieściło artykuł, w którym pewien młody duchowny hiszpański opowiada swoje przeżycia. W porównaniu z okrucieństwami w Hiszpanji, czasy rewolucji rosyjskiej mają być wcale znośne. W Rosji kościoły niszczone z rozkazu władzy, w Hiszpanji zaś niszczą je sami mieszkańcy. W Barcelonie zburzono wszystkie kościoły, katedra została zbombardowana. W milionowym mieście nie ma możliwości odprawienia Mszy świętej. Na gruzach świątyni spoczywają zwłoki 250 księży i zakonników. Wszystko to wykonano według zawczasu przygotowanego planu. Czerwone zawody olimpijskie w Barcelonie miały być jedynie początkiem antyreligijnego terroru. Mimo starań rządu Katalonji, słynne muzeum przyrodnicze i historyczne, oraz bogata biblioteka olbrzymiego seminarjum spłonęła w ogniu. W Madrycie i Barcelonie panuje anarchja. Obecnie jedynie zagraniczne konsulaty i poselstwa mogą zapewnić bezpieczeństwo swoich ziomków. Poselstwa chronią również wielu Hiszpanów, w pierwszym rządzie księży i zakonników.

KONSUL HONOROWY R. P. W WALENCJI został rozstrzelany przez „milicję ludową“. W związku z powyższym Polska skierowała do rządu madryckiego energiczny protest, domagając się wyświecenia.

JUŻ 50 TYSIĘCY OFIAR WOJNY DOMOWEJ. Berlin. Według doniesień z Madrytu, liczba zabitych w wojnie domowej w Hiszpanji wynosi dotychczas około 50.000 osób. Liczba ta obejmuje również ofiary egzekucyj. Z różnych powodów nie udało się ustalić tożsamości około jednej trzeciej części zabitych.

WSRÓD UCIEKINIERÓW Z HISPANJI, których przywiózł do Casablanki parowiec francuski znajduje się również Zbyszko Cyganiewicz, który uważany był za zaginionego.

AKCJA TERRORYSTYCZNA W PALESTY- NIE TRWA. Jerozolima. Ostatnio padło w walkach 14 zabitych i 16 ranionych. W Tulkarem ogłoszono stan wyjątkowy. Na wieś Tireh pod Haifą za zamordowanie 4 osób nałożono kontrybucję w wysokości 500 f. szt.

Stan wyjątkowy w Jaffie, którego wprowadzenie odniosło już pewien skutek, został uchylony i obowiązuje jedynie w niektórych dzielnicach. Mieszkańcy Jaffy będą obecnie mogli wychodzić na ulicę w ciągu dnia, nie wolno im jednak opuszczać domostw o zmroku. Ostatnio mnożą się wypadki napadów na Arabów, wobec czego władze przypuszczają, iż skrajne elementy żydowskie zaczynają stosować metodę odwetu. M. in. rzucono bombę i ostrzelano chatę arabską w Jaffie, przyczem raniiono dwóch Arabów. Zabity został strażnik arabski w plantacji pomarańczy w miejscowości Saranah. Bomba rzucona w Jaffie raniła również pewną dziewczynę arabską.

PROCES T. ZW. „CENTRUM ZJEDNOCZO- NEGÓ TROCKISTOWSKO - ZINOWJEWSKIEGO BLOKU“, który, jak już donosiliśmy, rozpoczął się w Moskwie przed tygodniem, zakończony został skazaniem 16 oskarżonych na rozstrzelanie.

Ponieważ prezydium CKW (Centralnego Komitetu Wykonawczego) odrzuciło podanie o ulaskawienie — wyrok został wykonany.

Rozstrzelano: Zinowjewa, Kamieniewa, Jewdokimowa, Bakajewa, Mrazzkowskiego, Ter-Waganjana, Smirnowa, Drejczera, Reinholda, Pikela, Fryca Dawida, Olberga, Bernana - Juryna, Łurje M., Łurje N. i Golcmana.

Nie pomogło wstawiennictwo Krupskiej (wdowy po Leninie), której zresztą Stalin wogóle nie przyjął, ani spóźniony protest II-giej Międzynarodówki.

„Prawda“ moskiewska w artykule wstępnym pisze na marginesie wykonania wyroku, że po rozstrzelaniu 16 oskarżonych „oczyszczyło się powietrze i w Rosji można lżej oddychać“.

Akt oskarżenia zarzucał rozstrzelanym bezpośrednią organizację zabójstwa kierownika leninogradzkiej partii komunistycznej Kirowa, przygotowanie zamachów na życie czołowych przywódców partii komunistycznej i członków rządu sowieckiego (Stalina, Woroszyłowa i innych), przyczem działali oni — rzekomo — w porozumieniu z trockistami i Trockim.

TROCKI ZARZUCA FALSZERSTWO WŁAD- COM ZSRR. Dziennik socjalistyczny „Kristiansand“

otrzymał oświadczenie Trockiego, głoszące m. in. iż istnienie w ZSRR wielkiej ilości ludzi usposobionych opozycyjnie wobec rządu jest bardzo możliwe, lecz jeśli chodzi o niego, to niema on żadnej łączności z terytorjum sowieckim i zajmuje się sprawami rosyjskimi jedynie w artykułach na tematy sowieckie, które pisze dla prasy zagranicznej.

Trocki proponuje, aby rząd norweski powołał komisję, przed którą gotów jest dowieść, że oskarżenia moskiewskie są fałszywe. Z prośbą o utworzenie analogicznej komisji, Trocki ma się zwrócić do wszystkich organizacji robotniczych w świecie.

Trocki oświadcza, że doniesienia moskiewskie są jednym z największych fałszów historycznych, popełnionych przez biurokrację sowiecką rządzącą krajem. Biurokracja ta ma zwyczaj uważania wszelkiej formy krytyki za spisek. Jest bardzo możliwe, że liczne elementy w Sowietach używają moich idei i mego imienia, lecz jestem pewien, że nie stoję na czele spisku terrorystycznego. Zresztą, zawsze zwalczałem ze wszystkich sił metody teroru indywidualnego.

... ORAZ zbrojeń

W AUSTRII została wprowadzona regularna służba wojskowa.

W NIEMCZECH wprowadzona została dwuletnia służba wojskowa. W związku z powyższym armja niemiecka zwiększy się ilościowo do jednego miliona żołnierzy.

W ROSJI SOWIECKIEJ wiek poborowych został obniżony z 21 do 19 lat. Przyczyni się to do zwiększenia armji czerwonej do dwóch milionów.

Wiadomości bieżące

OJCIEC ŚW. O ZBLIŻAJĄCYM SIĘ KONGRESIE „PAX ROMANA“. Ojciec św. za pośrednictwem kardynała sekretarza stanu Pacelliego — przesłał z okazji zbliżającego się XV kongresu „Pax Romana“, pismo do J. E. Mgra Besson biskupa Lausanny, Genewy i Fryburga.

W piśmie tem Ojciec św. zwraca uwagę, że kongres „Pax Romana“ odbędzie się w tym roku w Salzburgu, Klagenfurcie i Wiedniu, w trzech miastach Austrii, które odegrały poważną rolę w dziejach kultury katolickiej. Kongres ma się zająć głównie problemem propagandy myśli katolickiej za pośrednictwem prasy, radja i kinematografji. Nowoczesne formy apostołstwa mogą znaleźć olbrzymie zastosowanie przy umiejętnym wykorzystaniu nowoczesnych wynalazków. Zwłaszcza „Pax Romana“, skupiająca przedstawicieli inteligencji katolickiej, jest powołana do wyzyskania wszystkich płodów geniuszu ludzkiego dla skutecznego i powszechnego szerzenia Ewangelji. — Jeżeli niektóre wynalazki, zwłaszcza w dziedzinie techniki wojennej, grożą ludzkości zwiększeniem cierpienia i niedoli, to radjo i kino, umiejętnie użyte, mogą przyczynić się do zbliżenia narodów ku Chrystusowi i utrwalenia w duszach prawdziwego szczęścia, jakim jest spokój sumienia.

MUSSOLINI UDAŁ SIĘ DO PONTINI (nowego osiedla, zbudowanego na błotach pontyjskich), gdzie wziął udział w młóćce pierwszego zboża, wyhodowanego w tych okolicach.

Następnie Mussolini odjechał do Littorii, gdzie był obecny przy podpisywaniu umowy pomiędzy związkiem kombatanów, komisarjatem dla migracji i kolonizacji, oraz konfederacją pracowników rolnych. Układ ten gwarantuje na lat 5 pomoc finansową kolonistom, którzy w ciągu pierwszych lat pracy na roli nie będą mogli utrzymać się na swoich osadach bez zaciągania długów. Celem układu jest uniknięcie zadłużenia kolonistów i ułatwienie procesu zamiany kolonistów na właścicieli osad rolnych. Mussolini wygłosił mowę, w której oświadczył, że wraz z pierwszym omlotem zboża w Pontini oraz z inauguracją cukrowni w Littorii dzieło użyczenia błot pontyjskich zostało dokonane dzięki robotnikom i kombatanom, którzy stanowią podstawę wielkiego i silnego narodu włoskiego.

Przed powrotem do Rzymu Mussolini dokonał otwarcia i zwiedzenia nowej cukrowni, zbudowanej w Littorii w ciągu ostatniego roku.

NA SZEROKI

O kolonie dla Polski

FRANCJA ODSZTAPI CZĘŚĆ KOLONIJ POL- SCE? W prasie żydowskiej w Polsce ukazały się ostatnio dwa bardzo ciekawe artykuły na temat żądań kolonialnych Polski. Znany przywódca sjonistów - rewizjonistów Włodzimierz Żabotyński omawia w „Momentcie“ najpierw wysuwane z niektórych stron żądania przekazania mandatu nad Palestyną Polsce. Uważając, że teoretycznie każdy mandat jest dopuszczalny, Żabotyński nie zajmuje wyraźnego stanowiska, oświadczając, iż teoretycznie „może mandat Polski byłby korzystny dla żydów, a może nie“.

Przechodząc do żądań kolonialnych Polski, mówi on, iż postawienie tego żądania jest rzeczą bardzo dobrą i bardzo zdrową ze wszystkich punktów widzenia, a więc także z punktu widzenia żydowskiego.

Z punktu widzenia estetycznego przywódca rewizjonistów uważa za słusne zabranie komuś ziemi i oddanie jej drugiemu, bardziej potrzebującemu. Większość państw przeprowadziło reformę rolną, opierając się na tej zasadzie, czemóż nie możnaby zastosować tego w stosunkach międzynarodowych. Żabotyński podkreśla dalej, że gdy Niemcy wysuwają żądanie kolonji, popierając je wyraźną groźbą, to Polska wysuwająca spokojnie swoje żądania, nadaje im zupełnie inny charakter.

Ezriel Karlebach opisuje wrażenie, jakie w Londynie wywołała wiadomość o żądaniach kolonialnych Polski. Pisma liberalne i socjalistyczne, które popierają podobne żądania niemieckie, były zaskoczone żądaniem Polski, które odczuły jako swą porażkę i dały temu jasny wyraz w komentarzach.

Inaczej zareagowała prasa konserwatywna rządowa. I ona była tem zaskoczona, lecz dopatrywała się w tem porozumienia polsko-niemieckiego w sprawie wzajemnego poparcia swych żądań. W obawie, że Polska zażąda odstąpienia części kolonji angielskich i prasa rządowa wypowiedziała się przeciw tym żądaniom.

Pewien wybitny polityk angielski w rozmowie z korespondentem wyraził jednak odmienne zapatrywanie. Oświadczył on: „Wrzawa w prasie jest zbyt duża“.

Polska nie myśli bynajmniej o terytorjach angielskich, gdyż wie bardzo dobrze, że nie oddamy ich. Polska nie ma również układu w tej sprawie z Niemcami, przeciwnie, jest to akcja zwrócona wyraźnie przeciwko Hitlerowi. Im więcej bowiem narodów występuje z żądaniem kolonji, tem mniejsze są widoki Niemiec na realizację ich żądań. Niemcy byłoby jedynie, konkurencja Polski jest dla nich ciosem. Nie, Polska nie myśli o Anglii, lecz o Francji, a Francja ma terytorja afrykańskie, które mogłaby oddać. Dzisiejszy rząd socjalistyczny uczyni to może chętniej, niż wszystkie gabinety poprzednie. I właśnie ten rząd ma się na myśli w Warszawie.

Również fakt, że wysuwa się żydowską stroną zagadnienia (wielka ilość żydów polskich, pozbawionych podstaw gospodarczych) — wskazuje, że mówi się do obecnego rządu francuskiego. Francji może się to opłacać. Niech Polska udzieli pewnych przyczyn co do swego stosunku do Francji, a będzie to interes. My zaś w Anglii chętnie zgodzimy się na to, jeśli dzięki temu Francja będzie mogła czuć się nieco bezpieczniej w stosunku do Niemiec“.

Korespondencja ta kończy się następująco: „Wyrachowanie jest widać takie: Niemcy zażądają kolonji od Anglii, a Polska od Francji. I jeśli, zaspokajając obydwaj żądania naraz, będzie można zarówno zaspokoić aspiracje niemieckie, jak i stworzyć nową gwarancję przeciwko Niemcom, to obecny rząd angielski będzie bardzo za tem. Również prasa londyńska nie będzie się wówczas temu sprzeciwiała“.

M ŚWIECIE

Wieści z Polski

Reflektorem po świecie

GEN. RYDZ-ŚMIGŁY NA MANEWRACH ARMII FRANCUSKIEJ. Paryż. Według obiegujących pogłosek gen. Rydz-Śmigły przyjedzie do Francji 5 września. Nie jest jeszcze ustalone, czy pojedzie przez Niemcy, czy też przez Czechosłowację i Wiedeń z ominięciem Niemiec, jak gen. Gamelin. Pobyt gen. Rydza-Śmigłego na ziemi francuskiej potrwa mniej więcej tydzień. Mniejszą część tego czasu spędzi gen. Rydz-Śmigły w Paryżu, większą natomiast na prowincji na manewrach.

Doroczne wielkie manewry armii francuskiej w roku bieżącym składać się będą z dwóch odrębnych ćwiczeń. Pierwsze ćwiczenia pod kierownictwem gen. Mittelhausera odbędą się między 6 i 10 września. Wezmą w nich udział: 2 dywizje piechoty kolonjalnej oraz 29 i 31 dywizja piechoty. W skład grupy wejdą również liczne grupy zmotywowane artylerji, kawalerji, czołgów i lotnictwa. Grupa powyższa będzie miała za przeciwnika 15 korpus piechoty. Druga część ćwiczeń, która odbędzie się natychmiast po ukończeniu 1-szej, obejmować będzie specjalne przestudowanie współdziałania lotnictwa z najnowszymi rodzajami broni technicznej. Lotnictwo ma być w tym wypadku użyte nie tylko jako broń zaczepna i wywiadowcza, lecz również jako broń osłonowa i środek transportu.

POLSKA EKSPEDYCJA NA SPITSBERGU dotarła do Tempel w Eisfjordzie, przebywając 400 km. i kończąc tem samym pierwszą połowę zamierzonej trasy. Przebywanie trasy miejscami tylko skartowanej i to niedokładnie, miejscami zupełnie nieznaną nastąpiło dużo trudności terenowych i technicznych. Cały zespół znajduje się w zupełnie dobrej formie. Sprzęt natomiast — szczególnie sanie — nie w najlepszym stanie. Stała niepewność i ciągle niespodzianki cechują atmosferę wyprawy.

LITWINI AMERYKI PÓŁNOCNEJ postanowili na kongresie w Cleveland utworzyć ogólnolitevski związek. Ostatnio donoszą z Argentyny, że i tamtejsi Litwini tworzą podobny związek.

Ostatnio w redakcji miejscowego pisma litewskiego zostało zwołane zebranie prawie wszystkich organizacji Litwinów argentyńskich.

Na konferencji tej rozpatrzono gruntownie aktualne zapotrzebowania kolonij litewskich w Argentynie w dziedzinach oświaty, kultury i ekonomii. Konferencja jednogłośnie postanowiła skonsolidować prace kolonji i dążyć do dobra narodu.

Po dłuższej dyskusji jednogłośnie postanowiono wybrać główną radę litewską organizacji narodowych w Argentynie. W skład jej weszło 13 osób.

Konferencja poruciła radzie powołać do współpracy wszystkie litewskie organizacje. Utworzenie rady głównej zostało przyjęte z wielką radością przez miejscowe społeczeństwo litewskie.

Idea jedności narodowej rozrasta się i wśród Litwinów brazylijskich. Projektują oni utworzyć wspólny litewski front.

Ostatnio stosunki pomiędzy poszczególnymi organizacjami litewskimi w Brazylii znacznie się odprężyły i coraz częściej mówi się o stworzeniu związków wszystkich kolonij litewskich w Brazylii.

Dobre poczynania emigrantów litewskich w Ameryce Północnej Litwa należy oceniać i życzy im pójść drogą jedności narodowej.

FUNDUSZ BUDOWY POMNIKA MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO w Warszawie osiągnął w połowie b. m. zł. 2.294.158 gr. 60. Akcja zbiórki na pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego w Wilnie przyniosła 227.000 zł.

W NIEDŁUGIM CZASIE OCZEKIWANY JEST W WARSZAWIE szef sztabu generalnego armji rumuńskiej gen. Samsowici.

W DNIU 20 B. M. POLSKIE RADJO specjalną audycją uczciło święto Narodowe Węgier.

NA FRANCUSKIM STATKU „MEKNES” przybyła do Gdyni grupa francuskich oficerów rezerwy, która podczas postoju statku zwiedziła port i jego urządzenia.

WŁADZE ADMINISTRACYJNE ZATWIERDZIŁY ostatnio plan rozbudowy Wielkiej Wsi — Hallerowa jako przyszłego miasta wybrzeża. Ogółem przyszłe miasto Wielka Wieś — Hallerowo podzielone będzie na cztery dzielnice, z uwzględnieniem budującego się portu.

W TORUNIU rozpoczęto przygotowania terenowe do budowy Muzeum Ziemi Pomorskiej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Echa XI Igrzysk Olimpijskich

OSTATECZNA PUNKTACJA W LEKKIEJ-ATLETYCE. Ostateczna punktacja za konkurencje lekkoatletyczne (licząc punkty za pierwszych sześć miejsc: — 1-sze — 6 pkt., 2-gie — 5 pkt., 3-cie — 4 pkt., 4-te — 3 pkt., 5-te — 2 pkt., 6-te — 1 pkt.) przedstawia się następująco,

- 1) USA — 171 pkt.
- 2) Niemcy — 101 pkt.,
- 3) Finlandja — 69 pkt.,
- 4) Japonja — 49 pkt.,
- 5) Anglja — 43 pkt.,
- 6) Włochy — 33 pkt.,
- 7) Kanada — 30 pkt.,
- 8) POLSKA — 27 Pkt.,
- 9) Szwecja — 19 pkt.,
- 10) Holandja — 16 pkt.,
- 11) Szwajcarja — 11 pkt.,
- 12) Węgry — 7 pkt.,
- 13) Nowa Zelandja — 6 pkt.,
- 14) Norwegja — 5 pkt.,
- 15), 16), 17), 18) Filipiny, Australja, Łotwa, Argentyna po 4 pkt.,
- 19), 20) Austria i Czechosłowacja po 3 pkt.,
- 21), 22), 23) Brazylja, Grecja, Francja po 2 pkt.,
- 24) Pol. — Afryka — 1 pkt.

Przy okazji warto zaznaczyć, że na ostatniej Olimpiadzie w klasyfikacji końcowej w lekkoatletyce Polska także zajęła ósme miejsce zdobywając 17 pkt.

OLIMPIADA BERLIŃSKA W CYFRACH. Berlin. Jak obliczono ostatecznie na olimpiadę berlińską przyjechało ogółem 1.200.000 osób z tego 1.050.000 z Niemiec i 150.000 z zagranicy.

Ogółem sprzedano 4.500.000 kart wstępu, które przyniosły dochód w sumie 7.500.000 mkr.

Koszta organizacji olimpiady, nie licząc budowy stadionu, wioski olimpijskiej, specjalnych kolei, urządzeń telegraficznych, telefonicznych i t. d. pochłonęły 6.500.000 marek.

„AZJA” ZWYCIĘŻA „AMERYKĘ” I „EUROPE”. Po uroczystości zamknięcia Olimpiady i pożegnaniem przyjęciu olimpijczyków w Wanssee odbył się na stadionie pływackim mecz trzech części świata w sztafecie pływackiej 4×200 mtr. Zwycięstwo odniosła Azja, reprezentowana przez Japonję (Yusa, Tokura, Tagushi, Arai) w czasie 8:56.4 przed Ameryką (Flangan, Macionis, Lindgren, Medica) 9:12.5 i Europą (Csik, Grot, Leivers, Taris) 9:14.6.

W sztafecie kobiecej 4×100 m. wygrała drużyna Europy (dwie niemki i dwie holenderki) w czasie 4:42.4 przed Ameryką 4:47.8 i Azją 4:55.7.

POLACY W NIEMCZACH po zakończeniu Olimpiady podejmowali w Domu Polskim w Berlinie polską ekipę Olimpijską. W imieniu ludności polskiej w Niemczech sportowców polskich powitał naczelny kierownik Związku Polaków w Niemczech dr. Jan Kaczmarek, wręczając ich kierownikowi, w dowód łączności między Polakami w kraju i zagra-

W HALI WYSTAWOWEJ na Bydgoskiem Przedmieściu w Toruniu została otwarta I-sza Pomorska Wystawa Pszczelnicza. W Toruniu obradował ogólnopolski zjazd pszczelarski w obecności 500 delegatów z całej Polski i licznych gości.

WICEMINISTER OŚWIATY plk. Bleszyński wydał zarządzenie wprowadzenia do programów nauczania w roku szkolnym 1936/37 modelarstwa lotniczego.

W WARSZAWIE zmarł wybitny artysta dramatyczny ś. p. Jan Szymański.

W CZASIE OD 24 DO 30 SIERPNIĄ B. R. odbędą się w Warszawie 34-ty Zjazd „F. A. I.”. Do „FAI” należy obecnie 35 klubów narodowych poszczególnych państw świata. Od 24-go do 26-go uczestnicy zjazdu poświęcą czas na wycieczki krajoznawcze po Polsce.

W NADCHODZĄCĄ NIEDZIELĘ nastąpi uroczyste otwarcie nowej linii kolejowej Wieliszew-Kłus, stanowiącej połączenie linii zegrzyńskiej z linią wileńską. Długość nowej linii wynosi 34 km.

nicą, piękny upominek od Polaków w Niemczech — ich sztandar z Rodłem. Uroczystość zakończono odśpiewaniem hasła Polaków w Niemczech, Hymnu Narodowego oraz Pierwszej Brygady.

Miłą niespodziankę zgotował zebrany Jan Kie-pura, który przybył na przyjęcie i odśpiewał szereg pieśni.

Po części oficjalnej polscy Olimpijczycy spędzili w miłym nastroju kilka godzin z miejscową Polonją.

OWENS ZDYSKWALIFIKOWANY! Słynny murzyn amerykański Jesse Owens, który zdobył na Olimpiadzie berlińskiej trzy złote medale, a świetnym biegiem w sztafecie 4×100 mtr. przysporzył Ameryce 4-ty złoty medal — odmówił wyjazdu do Sztokholmu wraz z reprezentacją lekkoatletyczną Ameryki, tłumacząc się zmęczeniem. Sekretarz generalny amerykańskiej federacji lekkoatletycznej oświadczył, że wobec powyższego Owens został zdyskwalifikowany.

Na froncie sportowym

PIERWSZA RAKIETA ŚWIATA i trzykrotny mistrz Wimbledonu Perry został niespodziewanie pokonany w New-Jorku przez młodego polskiego tenisistę, zamieszkałego Ameryce, Franciszka Parkera - Pajkowskiego.

KUCHARSKI zwyciężył swego progromcę Olimpijskiego dr. Edwards'a (murzyna kanadyjskiego, który niedawno startował w Rydze) w Warszawie w biegu na 800 m., uzyskując czas 1:55,4 i pozostawiając swego konkurenta o 3,5 metra za sobą. Na Olimpiadzie, jak wiadomo, na tym samym dystansie Edwards przyszedł jako czwarty, Kucharski — jako piąty.

NA MIĘDZYNARODOWYCH ZAWODACH LEKKOATLETYCZNYCH W BERNIE Noji, startujący w biegu na 5.000 metrów, uzyskał czas 14:49,8, bijąc słynnego Japończyka Murakoso. Kucharski wygrał bieg na 800 metr. w czasie 1:57,8. Turczyk w rzucie oszczepem osiągnął wynik 60,60 metr.

W OLIMPIADZIE SZACHOWEJ, rozpoczętej ostatnio w Monachjum, bierze udział 21 drużyna (każda liczy 10 osób). Reprezentują one 21 państw.

W turnieju udział biorą następujące państwa (w kolejności losowania): Litwa, Danja, Austria, Holandja, Francja, Jugosławja, Szwecja, Bułgarja, Norwegja, Estonia, Brazylja, Finlandja, Węgry, Włochy, Rumunja, Czechosłowacja, Szwajcarja, Polska, Niemcy, Łotwa, Islandja.

Drużyna polska przybyła do Monachjum pod kierownictwem ppłk. dypl. Steifera, kapitana polskiego związku szachowego, w składzie: Frydman, Paulin, Najdorf, Regedziński, Matorczyk, Friedman, Henryk, Kramer-Porogielt, Wójcik, Sulik, Jagielski.

Dział religijny

Ewangelja na trzynastą niedzielę po Świątkach

zapisana u św. Łukasza w rozdz. 17, w 11—19.

Won czas: Gdy Jezus szedł do Jerolimy, przechodził między Samarją a Galileją. I gdy zbliżał się do pewnej osady, zabiegło mu drogę dziesięciu mężów trądem okrytych. Stanęli oni zdaleka i podnieśli głos, wołając: Jezusie, Mistrzu, zmiłuj nad nami: A ujrawszy ich rzekł: Idźcie, pokażcie się kapłanom. I stało się, że podczas drogi zostali oczyszczeni. A jeden z nich, widząc, że był uzdrowiony, wrócił się, wielbiąc Boga głosem wielkim, i dzięki czyniąc padł na oblicze do nóg Jego; — a był to Samarytanin. Jezus zaś odezwał się i rzekł: Czyż nie dziesięciu zostało oczyszczonych? Gdzież więc jest dziewięciu? Żaden więc z nich nie wrócił się, by chwałę oddać Bogu, z wyjątkiem tego cudzoziemca? Do niego zaś przemówił: Wstań, idź, bo wiara twoja uzdrowiła cię!

NAUKA

Trąd to choroba po dziś dzień pomimo nadzwyczajnych wprost postępów wiedzy lekarskiej wciąż jeszcze nieuleczalna.

A jednak Pan Jezus wszechmocą Swoją uleczył dziesięciu trądowatych, a uleczył ich dlatego, że z niczem niezachwianą wiarą i z bezgraniczną ufnością o ratunek go prosili i posłusznie bez szemrania jego rozkaz wypełnili.

I dziś Pan Jezus ten sam, co niegdyś tak samo wszechmocny, tak samo miłosierny. Tylko niestety nasza wiara nie dość silna, nasza ufność niedostateczna, naj-

częściej zaś za mało jesteśmy posłuszni, czyli brak nam pokornego poddania się woli Bożej.

Gdzie zaś powyższe przymioty w dostatecznej mierze się znajdują, tam i dzisiaj cuda się dzieją.

Rozpisywały się gazety o nadzwyczajnych uzdrowieniach, jakie w roku bieżącym zaszły w Lourdes.

Pewien piekarz z Marsylji miał od szeregu lat sparaliżowaną nogę. Z wiarą głęboką udał się do Lourdes i wrócił uzdrowiony.

Niejakis Verbec cierpiał od r. 1926 na bezwład w nogach. Leczył się u szeregu lekarzy, wszystkie jednak zabiegi pozostały bez skutku. Wkońcu lekarze go opuścili, gdyż zwątpili w jego uzdrowienie. Chory nie stracił jednak nadziei i opuszczony przez lekarzy ziemskich z całą ufnością zwrócił się za przyczyną Matki Boskiej do Niebieskiego Lekarza, odbył pielgrzymkę do Lourdes i odzyskał władzę w nogach.

W roku ubiegłym przybyła do Lourdes Leonja Gillet, ciężko chora na gruźlicę. Lekarz stwierdził suchoty w ostatnim stadium, na co medycyna już sposobu nie ma. Tymczasem 7 lipca b. r. nastąpiło nagle zupełne uzdrowienie chorej, co tamtejsza komisja lekarska protokolarnie stwierdziła.

A takich cudów można naliczyć tysiące.

„Idź, bo wiara twoja ciebie uzdrowiła”, mówi Zbawiciel wyraźnie do ostatniego z trądowatych. Chcesz więc, oby i ciebie Pan Jezus wysłuchał, staraj się o to, by i twoja wiara była odpowiednio silna, żywa a przytem pokorna.

St. Maćkowiak

Opowiadanie żołnierza

Okropny trzask zbudził nas ze snu w połowie lipca 1917 roku. Za ścianami naszego baraku było słychać biegania, nawoływania i jęki rannych żołnierzy.

Zanim odpędziliśmy z powiek resztki snu, wpadł do naszego baraku szef Knopf i krzyknął urywanym głosem:

— Chłopcy... wstawać! Do okopów... rozkaz! Francuzi zaczynają atakować!... Kula rozwalila sąsiedni barak!...

Pospieszemu naszemu ubieraniu towarzyszyły bezustannie salwy armatnie. Po chwili byliśmy gotowi. Przynaglani przez Knopfa i ufornowami w czwórki, wyruszyliśmy szybkim krokiem w stronę okopów. Lekka mgła spowila ziemię. Nad głowami naszymi przelatywały z sykiem raz po raz pociski lub pękały szrapnele. Ziemia dudniła. Atak już się rozpoczął...

Kilkadziesiąt kroków przed nami widniały najeżone okopy. Nagle w górze zawarzał samolot francuski. Przywarliśmy do ziemi. Z okopów doszedł do naszych uszów przygluszony obustronną strzelaniną głos gonga, a powietrze przybrało równocześnie jakiś ostry, duszny zapach.

Podniosłem głowę. Nad ziemią unosił się obłok barwy żółto - zielonkawej.

Knopf spojrzal na nas z przerażeniem, szukając czegoś wokoło siebie.

— Gaz!... wrzasnął nieludzkim głosem.

Momentalnie sięgnąłem ręką w bok po maskę. Napróżno, nie miałem jej! Spojrzałem na towarzyszy. Kilku wkładało na twarz ochronne gumy, reszta zaś, nie wyłączając Knopfa, spoglądała na siebie błędnie oczyma, w których malowało się bezgraniczne przerażenie. W pośpie-

chu nie zabraliśmy masek!! Przed nami stanęło upiorne widmo śmierci! Na ucieczkę do baraków było za późno.

Nagle uczułem niemoce i straszne duszenie. Palcami objąłem nerwowo gardło i zacząłem targać kołnierz mundura. Słyszałem tylko — jakby we śnie — głuche warczenie armat i charczenie towarzyszy. Nagle palcami natknąłem na kawałek jakiejś materji, zawieszanej na piersiach. Ustami wybuchnęła mi krwawa piana. Drżącemi i zamierającemi ustami wymówiłem: „Marjo...” i zupełnie odruchowo włożyłem do ust ową materję. Straciłem przytomność.

Nie wiem, jak długo leżałem bez przytomności. Gdy otwarłem oczy, mżył drobny deszcz. Byłem wyczerpany. W ustach miałem pełno piasku i jakiś miękki przed-

A. Nikończuk

URODZA J

Jak słońce jasno
Wyroślo zboże! —
Zzieli je żęczy —
Ja snopy zwożę...
Z kopic w zapole
Zboże się prosił
Kopice nikną
Wóz się podnosi...
Rosną do krokiew
Sterty w stodole!
Za chojne dary
Kocham cie, pole!...
Za chojne dary
Dziękci, Ci, Boże!!!
Za złotą słomę!
Za mączne zboże!...

miot. Koło mnie chodzili jacyś Indzie, — widocznie sanitariusze. Po chwili po raz drugi straciłem przytomność.

Przebudziłem się w szpitalu wojskowym. Koło mego łóżka stało dwóch pielęgniarzy. Jeden z nich mówił, wskazując na mnie i kiwając głową:

— Jakim sposobem ten Polak wyszedł cało z tego ataku, to ja nie wiem... Bez maski... Tamci legli wszyscy...

Przymknąłem oczy... Powoli wracała mi świadomość ostatnich wypadków. Więć oni zginęli wraz z Knopfem, a ja sam wyszedłem cało... cudownie?

Nagle ręka moja napotkała na ową materję, którą miałem w ustach podczas napadu. Zdjąłem ją z piersi. Był to, zabrudzony piaskiem i czerwoną pianą, która buchała mi z ust w owym pamiętnym dniu, zapomniany przez szeregi miesięcy mego pobytu na froncie — szkaplerz. Matka zawiesiła mi go na piersiach przed wyjazdem na pola bitwy. „Weź go, synu! — mówiła starszuszka ze łzami w oczach. — Gdy szkaplerz będziesz nosił na piersiach i westchniesz czasem do Tej, która go ludziom dała, nie potrzebujesz się obawiać niczego”.

Na froncie — wśród huk armat — zapomniałem o talizmanie matczynym. Aż wreszcie w tym dniu straszonym...

Spojrzełem na tablicę szpitalną wiszącą nad mem łóżkiem. „Otruty 16 lipca...” przeczytałem początek i zalałem się łzami, całując cudownie szkaplerz.

Wszak 16 lipca — to święto Matki Boskiej Szkaplernej! Zrozumiałem zdumienie pielęgniarzy, zrozumiałem moje cudowne ocalenie... Słowa matki spełniły się.

Jan Szczerwiej

Rok 1935-36 w literaturze Polski

I.

Rok 1935/36 był w literaturze polskiej bardzo urodzajny. Szczególnie bogato obrodziła proza, wcale ładny był plon poetycki, sporo wreszcie książek przyniosł ten okres o Marszałku Piłsudskim. Tym właśnie książkom, które powstały w żalu po stracie Wodza Rzeczypospolitej, wypada poświęcić choć parę słów przed książkami o wartości wyjątkowo artystycznej. Zatem kolejno sześć najwybitniejszych: „Strzepy meldunków” obecnego Premiera Rządu generała Felicjana Sławoj - Składkowskiego, „Wielki Marszałek” Wacława Lipińskiego, „Józef Piłsudski jakim Go znałem” Leona Wasilewskiego, „Józef Piłsudski na Syberji” Mieczysława Bohdana Lepeckiego, „Więzienie drogi Komendanta” Marji J. Wielopolskiej oraz „Pod Belwederem” czołowego pisarza współczesnej Polski Juliusza Kadena - Bandrowskiego.

Próbę zamknięcia całego życia Marszałka w jednej książce podjął jeden tylko Lipiński. Dwie inne książki przynoszą wspomnienia autorów o Piłsudskim w poszczególnych okresach Jego życia (Sławoj - Składkowski, Wasilewski), treść następnych dwu książek stanowią wrażenia z podróży do miejscowości, w których Marszałek był niegdyś więziony (Wielopolska), albo które były miejscem Jego zesłania (Lepecki). Wreszcie ostatnia książka (Kaden-Bandrowskiego) jest zbiorem pięknych artykułów i studiów o Marszałku.

Nie podjęlibyśmy się sądu o tych książkach. Ale serce każdego Polaka bije mocniej na dźwięk nieśmiertelnego imienia Twórcy Niepodległości, a książki te chwalebnie właśnie imienia mają na celu — nie mogą więc być obojętne nikomu z nas. I obojętne nie są. Są natomiast bliskie i drogie, bo mówią nam o Tym, kto dla nas jest najdroższy, a którego dzisiaj już pośród nas niema. Dlatego nie mierzymy ich i mierzyć nie będziemy nigdy miarką zwykłą, jaką przyzwyczailiśmy przykładać do książek choćby nawet najwartościowszych i najpiękniejszych, ale bardziej powszednich i zwykłych. Te książki są dla naszego serca niezwykle, w nich znajdujemy cały ogrom miłości do Józefa Piłsudskiego, miłości która pali się potężnym płomieniem — i właśnie nie czem innym, jak tylko potęgą tej miłości pragnęlibyśmy mierzyć wartość dzieł takich, jak „Strzepy meldunków”, „Wielki Marszałek” czy „Józef Piłsudski na Syberji”. Można tylko się cieszyć, że wynik oceny, przeprowadzonej w ten sposób, przechodzi najśmielsze oczekiwania. Pisali przecie te książki najwierniejsi żołnierze, najbliżsi współpracownicy, najplomieniej entuzjaści Marszałka.

Poza temi najwybitniejszymi książkami o Marszałku wyszło po śmierci Marszałka jeszcze parę innych publikacji o Nim: mianowicie „Ballada o Piłsudskim” Romana Kołonieckiego, „Wiersze o Piłsudskim” Kazimierza Iłakowiczówny, „Przed Jego wielkim światłem” Julji Dickstein - Wieleżyńskiej, „Przez kiry i lzy” Gwidonę Trzywdar - Rakowskiego i „Wodzowi odchodzącemu rytmy bohaterkie” T. Kordyasa. Są to wszystkie poświęcone Marszałkowi poezje; największą pośród nich wartość mają piękne utwory Kołonieckiego i Iłakowiczówny.

II.

Na czele twórczości powieściowej w Polsce w czasie ostatniego okresu półtorarocznego kroczą dwaj pisarze poważni, głęboacy, świadomi istoty powołania pisarskiego: — Zygmunt Kisielewski i Julian Wołoszynowski. Książki ich mają wiele ze sobą wspólnego — mówią obydwie o Polsce.

Wołoszynowski pokusił się w swojej książce na rzecz wielką i niecodzienną. Pisarz to reprezentujący we współczesnej literaturze polskiej klasę bardzo wysoką. Znany szeroko jest jego niezwykły, sugestywny, stojący tuż na granicy dziwnego jakiegoś czarnoksiężnictwa styl. Napisane tym właśnie stylem książki jego „Potęga snu”, „Słowacki” i „Rok 1863” zdobyły mu sławę.

Nowa książka Wołoszynowskiego ma ten sam styl i tę samą, jeśli jeszcze nie wyższą, reprezentuje klasę artystyczną, co i książki tego pisarza poprzednie.

Nie sam jednak styl i nie sama tylko klasa artystyczna są największą rewelacją w nowej książce Wołoszynowskiego, zatytułowanej „Było tak”. Właśnie temat jest tą rewelacją! Wołoszynowski daje w swym nowym dziele próbę udaną i poważną artystycznego ujęcia dziejów narodu, od samych ich początków aż do śmierci Marszałka. Powaga pryncypialna i największa wartość tej pięknej książki polega na tem, że Wołoszynowski nie opowiada dziejów „własnymi słowami”, ale stawia nam przed oczy ich

najwzięlejszą syntezę. Można podziwiać, jak pisarz ten potrafi charakteryzować poszczególne okresy naszych dziejów, czy jeśli kto woli — poszczególne epoki. Ta właśnie niepowszednia zdolność Wołoszynowskiego sprawiła, że książka mu tak bardzo udała się, że taką ma wielką wartość artystyczną i że tak czytelnika sobą pochłania.

Kisielewski w „Dniach Listopadowych” obrał odcinek bardziej wąski, za zadanie sobie postawił uwiecznienie w pięknej wizji artystycznej, w utworze literackim najwyższego gatunku pierwszych dni nowej Niepodległości — i z włożonego na siebie zadania wywiązał się lepiej, niż doskonale. Inną, co prawda, wybrał drogę do osiągnięcia celu, mniej historyczną a bardziej powieściową; uczucia narodu, przeżywającego te pierwsze dni Niepodległości pokazał na przykładzie przeżyć jednego człowieka, bohatera powieści, gdy w książce Wołoszynowskiego „bohaterem” są właściwie same dzieje. Rezultat jednak końcowy twórczego wysiłku pisarskiego jest tu tak samo wybitny.

„Było tak” i „Dni Listopadowe”, to najdrowsza, najpiękniejsza literatura, czysto narodowa, godna najszlachetniejszych wawrzynów największej popularności.

Tadeusz Hż

W pogoni za ślepym losem

Trzydzieści pięć lat temu Stefan Żeromski przystąpił do pisania „Popiołów”. Powieść ta została poprzedzona nowelą z epoki napoleońskiej, drukowaną na parę lat przedtem w odcinkach „Głosu Warszawskiego”. Nowela Żeromskiego nosiła tytuł „O żołnierzu — tułaczku” i znalazła się później w zbiorze zatytułowanym „Utwory powieściowe.”

Obserwujemy tu pewne zjawisko, analogiczne do techniki i dziejów pisarskich Sienkiewicza, Prusa, Reymonta i Wyspiańskiego. Na parę lat przed ukazaniem się „Ogniem i Mieczem” powstała nowela p. t. „Niewola tatarska”, „Quo vadis” zostało poprzedzone nowelą z czasów rzymskich p. t. „Pójdźmy za nim”, „Faraon” Prusa powstał po króciutkim utworze p. t. „Z legend dawnego Egiptu”, „Chłopi” Reymonta — po większej noweli p. t. „Sprawiedliwie!” Na osiem lat przed napisaniem „Nocy listopadowej” powstała jednoaktowa „Warszawianka” Wyspiańskiego. Podobne zjawisko możnaby zaobserwować i u wielu innych, pomniejszych pisarzy.

Żeromskiego zobaczyłem poraz pierwszy kiedy, po odbyciu podróży do Hiszpanji, spędzał lato w Nałęczowie. Było to w roku 1902. Znaczna część „Popiołów” już się ukazała w „Tygodniku Ilustrowanym”. Żeromski był w trakcie kończenia 2-go tomu. Grono młodych wówczas wielbicieli Żeromskiego, do których i ja należałem, podpatrzyło jak Żeromski po parę razy na tydzień chodził z willy Chmielewskich, w której mieszkał, na folwark Górskiego, leżący tuż przy parku Nałęczowskim, wynajmował tam dwukonną bryczkę, zaprzężoną w jednego konia, i sam, bez furmana, jechał w pole.

Kiedy już po wojnie poznałem Żeromskiego bliżej i zżyliśmy się ze sobą, wyznał mi, że przez długie czasy ulubionym jego sportem, przypominającym mu jeszcze lata dziecięce, było powożenie. W długiej rozmowie, jaką kiedyś prowadziliśmy w „Ziemiańskiej”, doszliśmy wspólnie do przekonania, że zamilowanie to odbiło się na podświadomości tworzeniu scen pełnych ruchu, które najczęściej właśnie stanowią o losie jego bohaterów. Z prawdziwą pasją opisuje Żeromski odjazd bryczki od ganku, oddalający się odgłos kół, ruchy powożącego.

Znamienne jest to, że początkowa nowela daje nam obraz chłopskiego wozu i chłopskich koni. Bez widocznej potrzeby powieściowej szczegółowo podany epizod jazdy Judyma koźmi do Cisów ze swawolnym Dyziem też ma swoje źródło w tej pasji opisowej. Ruch jazdy koźmi i konno przynosi Żeromski stopniowo i na inne rodzaje lokomocji. Mamy więc kolejne obrazy ucieczki Rafała z domu na Baśce, poprzedzonej opisem kuligu, znamiennej i dziwacznej rozmowy Rozłuckiego w karcie, charakterystyczny pogrzyb Tatjana, mający rytmiczne jakieś tempo marsza żałobnego, powietrzną podróż Rozłuckiego zakończoną przeniesieniem się na statek niemiecki. Nie bez znaczenia dla psychologii twórczej Żeromskiego jest

III.

W dziedzinie poezji ten sam typ literatury reprezentuje książka Kazimierza Wierzyńskiego „Wolność tragiczna”. Jest to zbiór wierszy przedwznowy piękności o Marszałku Piłsudskim i o Jego epoce. Umyślnie pominieliśmy tę wybitną książkę, gdy była mowa o książkach napisanych z myślą złożenia hołdu nieśmiertelnej pamięci Marszałka. Książce Wierzyńskiego bowiem należy się wzmianka osobna.

Wierzyński w tej swojej książce jakby zamyka legendę całego życia Marszałka Piłsudskiego, wciąka i żywa po wszystkie czasy legendę, przy której tworzeniu nie dano nam szczęścia być naoczniymi świadkami — Wierzyński w wierszach swych o Marszałku, najpiękniejszych wierszach, jakie znamy w powojennej poezji polskiej, dał dowód, że jest poeta niebyłej talentu i wysokich, górnych ambicji: nie ograniczył się w swych pięknych wierszach do powtarzania tego, co sami o Marszałku dobrze oddawna wiemy. Siegnął do samego rdzenia tego wielkiego, nieśmiertelnego problemu, jakim w dziejach Polski był, jest i będzie Marszałek Piłsudski.

„Wolnością tragiczną” Wierzyński wysunął się na czoło współczesnej polskiej poezji.

szczęśliwie, że pierwszy rozdział „Urody Życia” rozpoczyna się od tego, iż Rozłucki przed swoim ostatecznym egzaminem usłyszał z ulicy turkot powozu z nadeżdżającym W. Księciem. Hetman ostatnie godziny życia spędza nad Dniestrem w coraz bardziej zwięzającym się pierścieniu wozów. Salomea z „Wiernej Rzeki” po raz pierwszy w całej pełni uświadamia sobie bezmiar własnego nieszczęścia, kiedy przed dwór zajechał pojazd pani Ordrowej, mający w sobie coś z rydwanu śmierci. A ostatnie karty „Wiernej Rzeki” mówią nam, jak jej bohaterka, idąc brzegiem wody, usłyszała z oddali turkot kół karety, jadącej po drewnianym moście. Nienaski, tęskniąc do Xeni, uczuwa ostateczną odrazę do dwóch kobiet ze swego chwilowego otoczenia, a moment ten przeżywa, jadąc z niemi w powozie. Cały ogrom tęsknoty do chłopskiej Polski Czarus Baryka uświadamia sobie na widok dwóch bosych chłopów, sam jadąc powozem w towarzystwie Laury. Ostatnie zaś słowa „Przedwiośnia” mówią nam o tem, jak tenże Czarus w Alejach Ujazdowskich widzi przed sobą oficera policyjnego i jego konia w lansadach. Zupelnie bez potrzeby opisana scena, w której sprzed ganku rusza bryczką ksiądz z Karusią, ma niezawodnie to samo źródło.

Jeżeli weźmiemy dawną, z młodych lat twórczości, nowelę „W sidłach niedoli”, gdzie młody chłopak o swoim nieszczęściu dowiaduje się od woznicy, jadąc koźmi, albo z tegoż zbioru krótką nowelę „Przeczcucie” rozgrywaną się w wagonie, śmierć oficera niemieckiego w łodzi podwodnej z „Wiatru od Morza”, zgon młodego harcerza na wycieczce górskiej w „Złiem spojrzaniu”, decydujący moment dla Ewy Pobratymskiej podczas odbywanej przez nią podróży, lub znnowu bez potrzeby wstawiony do „Ludzi Bezdomnych” rozdział o przygodzie kolejowej, jaką przeżyła bratowa Judyma („Amsteten, Umsteigen”) — będziemy mieli niewiele materiału dla potwierdzenia tezy, którą zresztą podzielał sam Żeromski.

Odnotujmy motyw ruchu jeszcze w innych odmiannach. Granowski zostaje aresztowany w wagonie, co go doprowadza do szubienicy poprzez austriacki sąd polowy, a w chwili po tej egzekucji mała sierotka pozostawiona sama sobie, idzie w bezmierną przestrzeń opustoszoną przez Wielką Wojnę. Młodociana nowela Żeromskiego „Ananke” kończy się sceną w której żona urzędnika pocztowego dowiedziawszy się, że mąż jej przeszedł na prawosławie, idzie szosą zabrawszy dzieci, aby uciec od męża i rzucić weń kamieniem potępienia w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego wyrazu. „Oko za oko” ma dwa punkty zasadnicze: jazda młodego studenta bryczką ze stacji Trebizondów i drugi — pożegnanie z kobietą, przed jej podróżą w wagonie kolejowym. Jeżeli zwrócimy się jeszcze myślą do tej wizji Rydwanu pędzącego przez pustynię, gdzie „Aryman mści się” — zamkniemy kompletną galerję postaci, które płyną, lecą, jadą, biegną, słowem: pędzą po swój nieznan, ślepy los.

Usprawiedliwiał w takich razach nie siebie, lecz domowników, prosząc, żeby się nim nie krępowano. Najbardziej nie znosiła ślusarza praczka, która go uczyła opryskliwie grzeszności, że niby lezie jak chruń do ludzi.

— Taki kacap — mówiła mu prosto w oczy.

A żyd był stale uśmiechnięty. Nie raził go ci ludzie. Był zresztą po swojemu grzeszny. Jeśli się kłaniał, kłaniał się nisko, w swój sposób okazywał czułość i najbardziej ze wszystkich interesował się zajęciami każdego lokatora.

Uśmiechał się zawsze, nawet i wtedy, gdy naprzekór jego ojcowskiemu sercu, przekabacano tu umorusanego Joska. Gdy podchwytywano małego, jak mówi „mameloch”, przekręcająca do potworności wyrazy, jak się modli „tateľoch”, co mruczy, w którą stronę się kiwa, gdy złośliwym żartem oduczano nieopatrznie szacunku do tej oplutej gęby, tysej, różowemi plamami obeschlej czaszki, żyd uśmiechał się, stojąc we drzwiach, zarzumiałe pewny wierności i wytrwałości dziecka.

Jeśli był w izbie, wszystkie debaty prowadzono z nim takim raczej trójkątem, drogą okólną, poprzez Joska. Szwec czy praczka mówili właściwie do dziecka, a Jasek lub częściej sam żyd odpowiadał.

Było naprzykład tak. Mówiła praczka:

— Jasek, powiedz tatelochowi, że jest kacap.

— Kaciap — wskazywał żydek na ojca.

Praczkę złościła brudna zawsze koszula żyda. Właściwie to to koszula budziła sympatię Karasiowej do ślusarza, wtedy bowiem przerywała całe uczucie obrzydzenia na żydówkę.

— I taki stary niechluj.

— Nie... chluj — powtarzało dziecko.

Gdy Jasek kolysał się przytem na raciatych kulaskach i pokazywał palcem na rozporek Milarda, żyd zaśmiewał się rechotliwie.

Szwec Kajda miał głębsze dyskusje.

Udowadniał do znudzenia nie nierozumiejącemu dziecku całą plugawość żydowskiego pochodzenia, religii i obyczajów. Główne armaty swych teoryj wytaczał w niedziele, wtedy bowiem po południu najczęściej bywał stary Milard.

Prawie zawsze zaczynał Kajda od jednego.

— Jasek, ty jesteś żyd?

— Żyd.

Upewniwszy się tem niejako, że ma prawdziwego wroga przed sobą, zaczynał:

— A wiesz ty, co to narobiły te żydy?

Odpowiedzi nie było nigdy, bo Jasek bawił się zwykle guzikami u portek Kajdy, lub grzebał patykami w kłajsterze szewskim. Łysy Milard uśmiechał się przy drzwiach i czekał.

Szwec więc mówił dalej:

— To były dranie jedne. Oszusty. Wiesz, dlaczego gonili ich Egipcjany przez Morze Czerwone?

Jasek wiedział, że kłajster miły jest w palcach i nadaje się doskonale do zabawy.

— Gdzieby ta laź Egipcjanin tyle świąty nadaremno. Nakradli żydy srebrnego naczynia faraonowi i dawaly nura przez morze, rozumiesz?

— He, he, panie Kajda — uśmiechał się ślusarz. Nie wiedziało się co siedzi w tym żydzie i co on w tej chwili myśli, był jednak w tym śmiechu raczej szacunek dla tych zapobiegliwych przodków.

Z Ozeluchem rozmawiał żyd jak i reszta domowników nader rzadko i odnosił się do niego z jeszcze większą niż do innych uniżonością, weszyl bowiem w nim człowieka interesu. Ozeluch odstawał zresztą jakoś od tych ludzi i trudniej mu było z nim rozmawiać. Jego praca i to odrębne mieszkanie stawiały go wyżej nad resztę lokatorów domu, którzy mierzyli wartość człowieka przestronnością zajmowanego przezzeń mieszkania i charakterem jego pracy. Nie było w tem winy Piotra, raczej oni sami czuli się w obowiązku dzielić się z nim nieuchwytną granicą.

Jeśli już Milard zagadywał Ozelucha, miał zawsze w ustach takie mniej więcej uwielbienie.

— Pan Ozeluch, to on tu robi fajny interes.

— Myśli pan? — zaciekawił się Piotr. Praczka, nieodstępna zresztą wielu rozmowom w izbie, nadskakiwała w takich chwilach z przytakiwaniem, co było rzeczą w stosunku do powiedzeń Milarda nieprawdopodobnie rzadką.

— Pan Ozeluch wie, do czego się idzie w życiu — dodawał żyd.

Piotr zaciekawił się zwykle takim doń powiedzeniem. Rozmowa o celu życia była jakgdyby poruszeniem świecącej lampy w ciemności, do której się zbliżamy. Unaoczniało to wyraźniej koniec drogi.

Mimo, że wiedział o czem żyd myśli, pytał.

— Do czego się idzie, panie Milard?

Michał Rusinek

Człowiek

Żyd uśmiechnął się. Kąty ust spłynęły mu ku uszom.

— Idzie się do pieniądza.

A jak zawsze i dziś wpadła praczka:

— Jasek, powiedz tatelochowi, że u niego to pieniądz bóg.

— Pieniąć-bóg.

— He, he, Jasek — uśmiechnął się tata.

— On myśli, że pieniądz to już wszystko — mówiła praczka. Nawet gdy przyszło jej mówić wprost do żyda, mówiła do niego „on”, jakby go w izbie nie było.

— Co pani myśli? Pieniądz to bóg. Na końcu każdej rzeczy pieniądz. Czy pani Karasiowa potrzebuje kręcić te koszu-
le na co inne, niż pieniądz?

— Jasek, powiedz tacie, że pani Karasiowa ma córkę i musi ją utrzymywać.

— No więc, co jest? Złe mówię? Zresztą nie moja rzecz, każdy ma cel, coś każdemu siedzi w myśli. U pani w głowie córka, u pani Marty narzeczony, a u pana Kajdy — czy ja wiem — proteza...

Marta, dotknięta otwartością tych słów, zarumieniła się naraz w obecności Piotra, a praczka już miała replikować przez Joska.

Naraz wsunął się w drzwi wielki, potwornie wielki brzuch żony Milarda. Głowę miała jak zawsze nieuczesaoną, z prostymi strączkami włosów, zwisającymi w roztrzepany pendzel. Twarz to była zbywająca nadmiarem skóry i jakoś chomikowato owisła.

Milardka pewna siebie niosła przed sobą wielki bandzioch. Milardka nie miała piersi, nie miała ud, nie miała mięśni, ale miała brzuch, wielki brzuch, większy nad wszystko brzuch, który ją odróżniał od wszystkich i wszystkiego. Brzuch był wpróżdy wyduęty i aż łamał wtył żydówkę. Wyła jej nad butami odstająca spódnica, jakby ukrywała pod nią beczkę. Nad tą beczką trzymała w przeraźliwie chudych rękach drugie brzemie, córkę Bajlę.

Żydówka z miejsca zaczęła skrzypieć swoim ochryplym głosem:

— Juma, gdzie ty się wiesznie szwendasz? Narab mi drzewa, cholero jedna.

Tupeł żydówki wprowadzał zawsze wszystkich w dobry humor, szczególnie, gdy napadała na swego męża. To też cała rozmowa przechodziła z jej wejściem na inne tory. Żyd chwilę uśmiechał się, jakby dziękując żonie za opryskliwość, ale w niedługi czas wyniósł się chyłkiem na dwór.

Piotr, obserwując tych ludzi, naspędzanych tu chęcią zysku, wojną i przypadkiem, dochodził do przekonania, że są całkowicie do siebie podobni. Dzieliły ich w zasadzie drobne rysy, nieznaczne różnice zawodowe, nieco i te przekonania nieuchwytnie, z których sami nieomal nie zdawali sobie sprawy, ale w istocie każdego z nich szeregowało w myślach Piotra w jeden rząd ubóstwo.

Poza starym emerytem kolejowym, którego tu nie liczyło się wcale, bo jego mieszkanie naprzeciw Piotra jedynie w lecie było zajęte, byli to biedacy, nędzarze niemal, którzy jednak wspólnym sobie nawykami rozróżniali w szarzyźnie swego życia jeszcze całą skalę szczęśliwości i uważali się nawzajem za zasobniejszych jeden od drugiego. Żyd, choć ślusarz, blacharzyną zresztą zwyczajną, bez żadnego zawodowego wykształcenia, był na najniższym szczeblu w tej hierarchji, wiecznie bowiem pożyczali od innych pieniędzy, mieli największą ciasnotę w mieszkaniu i dwa bachory. Zresztą wiedziano naokół, że Milard nie jest „człowiekiem fachu”, objął beczki, odkręca rury w wychodkach, a w razie dostania się na budowę, nosi blachy i ryny. Drugie z kolei miejsce zajmowała Karasiowa. Była wdową po kapralu, który w niewyjaśniony sposób zaginął w niewoli rosyjskiej, miała czysto w mieszkaniu i regularnie jej napływał grosz za harówkę nad balją. Stanowisko swoje zdobyła sobie poniekąd organizacją własnego domowego przedsiębiorstwa. Nie była już od szeregu lat praczką na przychodne za kieliszek wódki i 3 złote dziennie, ale uprawiała systematyczne pranie w domu. Najchętniej prala kawalerom i letnikom. Gorzej miała w zimie, pracy było bowiem mniej i musiała się wtenczas za lada grosz paprać niechlujnością bluz robotniczych i przecuchniałą bielizną marynarzy. Ta ostatnia szczególnie dojadła jej do

z bramy

5)

głębi, Karasiowa bowiem miała dobry nos i poznawała się na rozmaitości woni, naznoszonych z portów całego świata, naścieranych z wszelkich nor i legowisk. Smród tych łachów przypominał jej trupa i padlinę. Mimo to wykonywała swą pracę jednakowo sumiennie, co więcej nawet, brała ją licho przy tych gaciach i harowała to z jeszcze większą niż inny strzęp zajadłością, z zadowoleniem wylewając wszelkie zmyte świątwa do kanału.

W wolnych chwilach uważała się za panią, która ma wydaną córkę, choć źle wydaną. Pysniła się też, że czysto pierze i ma styczność „z eleganckim światem”.

Na naczelnem miejscu w hierarchii stał szewc Kajda. Nie dlatego, żeby mu się przelewało, tylko, że górował nad resztą zasadniczymi cechami. Był mistrzem szewskim fachowym, choć tak nisko postawiony miał warsztat, że nawet praktykanta nie trzymał, nadto był inwalidą wojennym, co o tyle wzbudzało szacunek, że dostawał regularnie co 1-szego skromną rentę, a poza tem, rzecz najważniejsza, zajmował luksusowe dwuizbove mieszkanie, cymes wielki, pokój i kuchnię, aczkolwiek znów częściowo odnajęte. Poza wszystkim Kajda wyrabiał sobie pozycję wieczornym czytaniem bibliji, który to sam fakt umiejętności czytania był tu niebylejakiego znaczenia.

Kajdówna w oczach Piotra była poza tymi ludźmi. Mimo, że widział ją często przy takiej samej ciężkiej pracy, szorowaniu podłóg, paleniu w piecu, odrażającym myciu naczyń, jakoś instynktownie nie mieszał ją z nimi, wręcz przeciwnie, cieszył się w pewnych chwilach, czy to przy rannym śniadaniu, czy w czasie pomagania mu w pracy, że jest inna, niż tamci.

Którejś niedzieli, pod wieczór, jakoś po raz pierwszy wbrali się razem na miasto. Właściwie nie było to jeszcze miasto. Tuż od domku na lewo szedł wprawdzie równy mur jednolitych kamienic, wyszlonych szerokimi oknami, ściętych równo, prostotą linii bogatych, z drugiej jednakże strony w kierunku odległej, najeżonej szpilkowym lasem wyniosłości, biegły pola posypane zaledwie tu i owdzie blokami cegieł. Mocowała się tuż przed domkiem woń wapna i siana. Siano było wszakże jeszcze silniejsze, ile że naparzone zachodzącym słońcem.

Jedno i drugie zanikało w powietrzu w miarę jak zbliżali się ku morzu. Stamtąd szedł wiatr, który rozpędzał wszystko, suseł zaparzone siano i przewiewał niewyschnięty cement miasta.

Każdy krok, który ich prowadził grzęzawiskiem piasku nad płaski brzeg zatoki, podnosił im wwyż przed oczyma morze. Jakgdyby napelniała się wodą płaska zatoka. Daleka krecha morza schodziła się z ciemnym niebem równo, jak dwie przylegające szyby. Zawsze przypominało to Piotrowi pękniętą równo fotograficzną płytę.

Kolor wody zmieniał się przedokiem nieuchwytnie, a mimo to szybko. Niewiele słów w ustach przerzucili, o owa barwa szarogranatowa, wzdłuż której szli ku niedalekiej zakrzewionej górze, przetapiała się na jaśniejszy kolor, zbliżającemu się mrokowi oddając wypite za dnia słońce.

Niewiele mówili, tyle, że o tem morzu i niebie. Częściej słuchali, gdy ktoś obok przystanąwszy rozmawiał.

Podsluchiwali cudze słowa:

— Widzisz te dalekie statki?

— Widzę.

— Prawda, że śliczne?

— Yhm — mrucał ktoś, wypluwając pestki z pomarańczy.

— Poco jednak mają takie jakieś wystające w niebo patyki.

To szpeci.

Ponieważ rozmowa nijak im się nie kleiła, Marta skrętnie podchwytowała takie podsłuchane słowa.

— Słyszał pan?

— Słyszałem.

— Pewnie i pan nie wie, co to za okrety?

Udał, że nie wie, choć był już któregoś dnia w porcie. Chciał,

żeby go dalej objaśniała,

Więc objaśniała.

— To są towarowe statki. A te drągi to dźwignie. To tylko takie ładne zdaleka

— Skąd pani wie?

— Karasiowa zna. Ma pozwolenie chodzenia do portu. Kilku oficerom tych statków odnosi często pranie. Mówiła, że to zbliska wcale nie takie ładne. Podobno jest brudno i śmierdzi.

Piotr przyznał jej w duszy rację. Był już tam raz powszedniego dnia na molo, to widział. Stał dobrą godzinę przy takim czarnym kadłubie okrętu podnoszącego ku niebu sześć rozczarzonych paluchów.

Na jednym ladowano węgiel. Był upał. Na molo stał czerwony pociąg z węglem. Tuż nad nim kwiczały przesuwane na szerokich szynach metalowe żorawie. Potworne maszyny zbudowane w kształcie zwicniętej ręki - protezy giganta. Piszczał zakopanego pod ziemią wielkiego trupa ludzkiego, który wyciąga ten wyschnięty gnat ponad ziemię. Na końcu każdego żorawia wisiała na linie wielka żelazna paszcza.

Na każdej takiej żelaznej protezie siedział czarny strup — budka mechanika, a w niej karakon, żywy człowiek, który tem wszystkim, temi tonami żelaziwa i blachy, palogłowcami, nitami, szynami i sztangami, tą żywą, na stalowej linie zawieszoną paszczką, temi wszystkimi śrubami, drutami i linami — rządził.

Był upał. Piotr miał dobry wzrok, więc widział, jak ten człowiek, zawieszony na szynach, obłany jest cały potem. Nagie do pasa ciało zamazane czarnym pyłem lśniło polane brudnym spalonym smalcem.

Co parę minut karakon - człowiek jechał na protezie ponad wagon węgla. Przez żrejący go w oczy węgiel wylupywał swój wzrok, skupiał w sobie uwagę i puszczał linę greifu.

Greif walił w wagon, druzgotał bryły węgla, szarpał białe drzazgi na czarnem dnie wagonu i wzniewał twardy tuman kurzu. Stojący w wagonie ludzie — ruchome slupy węgla — uskaliwali do ścian i podgarniali resztę brył.

Człowiek - karakon wdychował kurz, zamykał paszczę greifu i jechał ze zdobyczą ponad okręt.

Był upał. Żelazna ręka zaczęła się jak szpon w powietrzu nad kadłubem statku. Człowiek znów sikał przez skórę potem, przeżerał się wzrokiem przez pył i rzucał elektrycznym rozkazem wiadro węgla do luku.

Luk dudniał, okręt dudniał jakby gromy waliły na niebie na widok takiej pracy.

Teraz dopiero rozdęta chmura spylonego węgla — smok ludzką męką ożarty — pęczniała ponad potwornym statkiem. Czarny dym rósł grubym kożuchem nad pokładem. Ta potworna zadymka polykała sobą wszystkie liny i maszty, bloki, kołowroty, burty, windy i kapitański mostek. Jakiś malutki człowieczek w oficerskiej czapce nadziewał się jak gwóźdź w tę czarną pierzynę.

Węgiel gdzieś churgotał wdole, a dym włócił się jak poczwara z tego straszego pudła ku niebu, czy ku temu na szynach wysokich człowiekowi, bo nieha wcale tu nie było.

Był upał i człowiek, ten w górze, żarł pełnemi ustami kurz, miał i kryształowy węgiel, chlupał własny słony pot siurający z pod czarnej czeluści nosa i przeklinał słońce, powietrze, molo, morze, te statki i ciepłodajny, poruszający energię świata, węgiel.

Piotr widział tego człowieka i widział jego wysiłek. Nie wiedział jeszcze, że tam, w luku statku zamknięci są ludzie w piekle, że są pierwsi przy wszystkim, że tam wali i wali greif po greifie, sypią się i sypią tonny węgla, pył rozsada drgające ściany statku, a oni, ludzie - bunkry, zdychają z braku powietrza, duszą się źli i czarni, jak łopaty podgarniające ich rękami węgiel, opijają się węglem i szcza przez skórę węglem, obżerają się węglem i rzygają węglem. Nie wiedział, że w tem pudle znajduje się w tej chwili jeszcze niższa kasta ludzi, zazdroścących temu u góry karaluchowi, na którego pada czasem deszcz i wichur, piękniejszy i wiele zdrowszy od parszywego słońca.

Węgiel przypominał Piotrowi matkę, więc tem bardziej współczuł tym tu wszystkim ludziom.

Widział matkę jak garbiła się w największej piwnicy domu przy ul. Św. Antoniego 14. Widział wielki wał węgla, spadającego zgóry od małego okienka, i małą rozczochraną matkę ciupającą z mazole wielkie grudy węgla. Węgiel był twardy, piszczał a nie chciał puścić. Mała matka pochylała się jeszcze niżej, a wielkie glazy upartego węgla rosły nad nią jak potężne zrujnowane schody, prowadzące do tego maciutkiego okienka. Piotr, maly Piotr, Piotruś dziecko, wściekał się na tę kupę węgla i lał czasem cichačem z tyłu poza matką na tę czarną górę, na tę sękatą grań, niby, że to wyjdzie aż do światła w oknie światelka. Ale góra była silniejsza niż człowiek. Jakiś tam głaz z pod nogi się usunął, zarzęgotalo w całej kupie, i tylko matka w panicznym przestraszu wyrwywała jego małe nogi z lawiny. Przypominał sobie też Piotr, jak matka pokrząkiwała wieczór po każdym łupanu węgla i wysiąkawszy nos oglądała zawartość kuszki przy lampie.

(DCN)

Kazimiera Muszatówna

ZWYCIĘZCA MA

Berlin, w sierpniu.

Dziewiątego dnia igrzysk olimpijskich w Berlinie, po ośmiu dniach dotkliwego chłodu, przelotnych deszczów i porywistych wiatrów, nastał piękny upalny dzień. Dla wszystkich był powód do radości, z wyjątkiem pięćdziesięciu ludzi, którzy tego dnia popołudniu atakować mieli na szosach podbelińskich szalony dystans maratoński czterdziestu dwóch kilometrów i stu dziewięćdziesięciu pięciu metrów.

Nikt, spośród stu tysięcy widzów, czarną masą zalegających jasny beton trybun, nie zobaczy długiej trasy, wiodącej poprzez asfalty szos, nie przeżyje emocji walki i wysiłku. Tylko dwie honorowe rundy — zanim wybiegną z bieżni na zwykłą drogę poza stadionem i tylko odcinek bieżni — końcowych parę dziesiątków metrów przewinę się przed oczami widzów. Na pierwszych rundach odbywa się raczej honorowa defilada, na ostatnich — nikt już nie walczy, ostatnim tchem dobiegając mety. Dramatyczny przebieg walki, bohaterские zrywy wysiłku, waleczne zmaganie z własnym zmęczeniem i nieludzki opór w pokonywaniu olbrzymiego dystansu — wszystko to dziać się będzie poza polem widzenia mrowia trybun.

SIŁA LEGENDY

Mimo to, od lat powtarza się ten sam zbiorowy spazm wzruszenia, kiedy ze startu ruszają maratończycy i kiedy w dwóch honorowych rundach — raczej defiladzie, obiegają stadion. Wzruszenie, które tamuje głos w gardle i wypowiada się tylko suchym dźwiękiem okłasków, przedłużających się poza moment, w którym biegacze zniknęli już w czarnej lufie maratońskiego tunelu.

Specjaliści chodu, męczennicy jeszcze dłuższego — pięćdziesięciokilometrowego dystansu, ruszają w swoją niemniej morderczą drogę bez tego akompanjamentu serc ludzkich, który od lat niezmiennie towarzyszy maratończykom. Nie sam więc ogrom wysiłku uderza wyobraźnię widzów, którzy nie będą widzami, nie szaleństwo walki gra w przyspieszonym pulsie.

Maratończycy mają przywilej specjalny — legendę sprzed wieków. Ona to sprawia, że na dźwięk słowa „maraton” — iskra elektryczna drżeniem obiega stadion. Dziwna siła legendy sprawia, że, patrząc na maratończyków, każdy ze stu tysięcy na stadionie widzi tylko jednego maratończyka, który przed wiekami ostatni swój oddech oddał z wyrazem — zwycięstwo. Magja gońca spod Maratonu wciąż wyzwała swój czar i zawsze jednako — mimo biegu lat — nasycza oddech wzruszeniem.

RUSZYLI...

Zapowiedź megafonu, gwizdek startera — koronowa masa pięćdziesięciu paru biegaczy ustawia się na starcie w kilku szeregach. Komenda, strzał — ruszyli.

Zaraz za startem wysunął się na czoło brzozywy biegacz, Argentyńczyk Zabala, mistrz maratonu olimpijskiego sprzed czterech lat — w Los Angeles. On prowadzi w korowodzie bieżni barwną masę pozostałych. Niebieskie majteczki, zabawny biały kapelusik — przykuwają uwagę widzów: jest faworytem widowni.

Za nim biegnie ciemny Hindus Swami, z włosami związanymi w węzełek schowany w coś niebieskiego, co wygląda zdaleka jak czworokątne pudełeczko. Dalej, wśród kilku białych zawodników, pięknie rysuje się postać czerwonego indjanina Browna - Tarzana. Dalej — trójka fińskich biegaczy, którzy bieć będą na kilometrach szosy — ramię w ramię, bok o bok. Trzech małych japończyków, z włosami ujętymi w przepaskę, francuski Marokańczyk Khaleb, zóty Chińczyk o nazwisku, jak dźwięki dzwonu, Wang-Tsung-Ling, południowi afrykańscy w ciemno-zielonych majteczkach i inni — z czterech części świata, z kilkunastu krajów — jeszcze zjednoczeni honorową defiladą, za chwilę — walczący w niepotrzebnym cierpieniu, wozdzieleni pragnieniem zwycięstwa.

TRAGICZNE WSPOMNIENIE

Z łoży honorowej szczególnie uważnie patrzyły na nich oczy dwóch innych maratończyków: staro Greka Luisa, który w pierwszych igrzyskach nowoczesnych, w Atenach 1896 roku, zdobył sławny tytuł olimpijskiego mistrza maratonu i który na wiele dni pogrążył wówczas Grecję w szale radości oraz słynnego Włocha Borando, który wygrał olimpijski maraton, lecz przegrał tytuł. Słynna to była sprawa w 1908 roku w Londynie, najbardziej tragiczne wydarzenia igrzysk. Dorando

wpadł wówczas pierwszy na bieżnię londyńskiego stadionu. Wyczerpał na przebytych czterdziestu dwóch kilometrach wszystkie siły, powietrze sztywniało w płucach dotkliwym bólem, krew rozsadała żyły. Dorando upadł na bieżni, na pięćdziesiąt za ledwie metrów przed metą. Podniosły go życzliwe ręce. Upadł znów, i jeszcze i jeszcze raz padał. Dźwignęły go znów cudze ramiona, na nich wsparty płaczącymi się nogami dociągnął do mety.

Ale — nikt przecież nie pomagał gońcowi spod Maratonu — samotnie wbiegł do Aten. Dorando winien był sam, o własnych siłach, zerwać białą taśmę mety. Cudza pomoc zniweczyła jego zwycięstwo. Zamiast zwycięskiego maratończyka — maratończyk Dorando zdyskwalifikowany.

W tunelu maratońskiej bramy zniknął ostatni z gromady biegnących. Suchy trzask okłasków, ścichając powoli, zamilkł. A tymczasem na zieloną trawę boiska weszło kilkanaście dziewcząt. Na stojakach starannie ułożono poprzeczkę na wysokości stu czterdziestu centymetrów. Rozpoczął się skok wwyż pań, piękna konkurencja, w której na ułamek sekundy trzeba zniweczyć ciężar własnego ciała i nieustępliwa siła przyciągania ziemi.

Z tunelu wybiegli maratończycy na wspaniały stadion hippiczny, z niego — popod szczupłym, wysokim sześcianem wieży, w którym zamknięty drzemie wielki, olimpijski dzwon, — na gładką bitą szosę. Po dwóch kilometrach przecięli oświetlone Heerstrasse, nakrytą od góry baldachinem barwnych flag i sztandarów, potem — na błyszcząca w słońcu taśmę asfaltu. Z lewej strony — miły cień przezroczyściego lasu, pociętego słońcem na piękny deseń światła i cieni. Z prawej — uwodzący chłód jeziora, na którym białe żagle patetycznie wykładają się na wietrze pod słońce i w dalekiej perspektywie łączą skraje ziemi i nieba.

Blżej, na paskach miękkiego piasku, ramującego rzut asfaltu, wyrosły ściany widzów. Ogląda je przelotnym spojrzeniem smagły Hindus Swami i myśli, że w powrotnej drodze te ściany rozsypią się w tysiące potężnych krzyków, wystrzela w górę ręce nieprzytomnym gestem uniesienia, załamie się norma oddechu. Daleko, w rozległych Indjach, miliony oczu zawisną na ustach megafonów, z których spadać będzie zwycięskie słowo — Swami...

ZABALA ODERWAŁ SIĘ...

Zabala oderwał się od natrętnego tłoku biegaczy, na szóstym kilometrze niósł z sobą cenne pół minuty przewagi nad Portugalczykiem Diasem i pełną ekipą Stanów Zjednoczonych z indjaninem Brownem na czele. Dalej spieszył Łotysz Motmilers z afrykańczykiem Gibsonem, na piętach za nimi lekko uśmiechnięty Japończyk Son w towarzysztwie Anglika Harpera, na dziesiątym miejscu Polak Fiałka, dalej inni, o których już nie wspominał megafon na stadionie olimpijskim, zajęty paniami, skaczącymi wwyż. Przypominał tylko, pełen zdziwienia, że o trycyklu Finnów nie meldują punkty kontrolne na trasie: znak, że posuwają się oni w ognie maratońskiej grupy.

Swami także wyleciał z krótkiego meldunku maratońskiego spikera. Z swego pięknego drugiego miejsca szybko spadł, urwał się z pięt spiesznie biegnącego Zabali. Mineli go inni. Swami liczył ich uważnie, patrzył na ich mocny krok, energiczną pracę ramion, wsłuchiwał się w oddech jeszcze równy i pełny. Uśmiechał się: zmęczy ich nasilone tempo, znużenie zmyli rytm kroku, piękną grę mięśni zdezorganizuje wysiłek, serce podejdzie do gardła. Odmieni się wtedy kolejką mijania.

NA 13-tym KILOMETRZE

Na trzynastym kilometrze droga maratończyków skręcała na wspaniały Avus, tor samochodowy — dumę Berlina. Wbiegł na szeroki asfalt pierwszy Zabala, dystansując następnego biegacza o przeszło minutę. Bieczenny zarobek czasu, nadzieja zwycięstwa. Nikomu nieznanemu Portugalczyk Diaz — czyżby sensacja maratonu? — w minutę z sekundami później wpadł na Avus jako drugi, dojrzał na idealnie prostej linii toru migającą sylwetkę lidera i przyspieszył kroku. Gonił za nim indjanin Brown z nad Colorado. Pełen najgłębszej wiary w zwycięstwo, ufny w jelenie nogi swoich przodków, chętnie, z uśmiechem dziecka, opowiadał w olimpijskiej wiosce na wiele dni przed biegiem o swoich treningach w biegu, po lasach tak wielkich, jak europejskie kraje. Harper i Son mają go na oku, biegnąc razem, zgrana parą, zamiast słów słuchając własnych oddechów.

A tymczasem pięknie skaczące na stadionie panienki przerywają swój mecz o wysokość na chwile,

w których megafon zabiera głos w maratońskiej sprawie. Zabala... Zabala... Zabala — jest wciąż na pierwszym planie. Na dalszym zmieniają się nazwiska, na planie powyżej dziesięciu pierwszych — już wogóle niema żadnych nazwisk, choć i tam walczą o czas i o miejsce niemniej walecznie i ofiarnie. Na piętnastym kilometrze Zabala wyciągnął dla siebie półtorej minuty przewagi, zwolnił nieco tempo Diaz, któremu na pięty następuje zgrana angielsko - japońska para Harper - Son, za nimi — przewracając kolejność — biegną Szwed Enochsson i afrykańczyk Coleman, odrzucając wtył czerwonego Browna z lasów w Colorado ogromnych i cienistych.

Swami biegł daleko, wciąż przesuwany wtył, mijany, nieważny dla megafonu i dla stu tysięcy widzów na stadionie i dla tych nawet, którzy ruchliwą masą oblepili szerokie boki Avusu. Rozgrzany słońcem miękki asfalt kleił się do stóp, suchość w ustach była nieznośna, w skroniach silnie uderzał puls. Ale w tej chwili na ustach tysięcy megafonów wisiały miliony ust w dalekich Indjach i Swami biegł, nasłuchując słów, które padną...

PÓLMETEK

Na dwudziestym kilometrze tor zalamuje się ostrym skrętem w kształt szpilki od włosów. Na drugim końcu tej szpilki — zwrotny punkt biegu, połowę dystansu markuje uroczysty, półmetek z wielkim punktem kontrolnym, sztabem lekarzy, ekwipunkiem sanitarnym i odżywczym. Pierwszy maratończyk Zabala witany jest salwą okłasków suchych i zrytmizowanych niemal w trzask maszynowego karabinu. Megafon na stadionie olimpijskim emfaticznie ogłosił wysoki nadrobek czasu — minuta i sekund pięćdziesiąt. To dużo. Tak dużo, że Japończyk Son zdecydował zwiększyć tempo. W towarzystwie nieodstępne Harpera zaatakował nieznanego nikomu Diaza, odrzucił go na czwarć miejsce, i świeży, równym tchem i równym krokiem ruszył w drugą połowę maratońskiego dystansu. Enochsson i dwaj afrykańscy — Coleman i Gibson doszłusowali do Portugalczyka, na plecach czując gorący oddech Browna.

Rozgrzała się publiczność stadionu losami wielkiej gry. Poprzeczka w skoku pań leżała wówczas na wysokości stu pięćdziesięciu pięciu centymetrów, mała Japonka Nishida bez skutku atakowała tę wysokość, niedosiężną dla jej stu pięćdziesięciocentymetrowej postaci. Nikt nie oceniał jej wysiłków, wszystką uwagę skoncentrował na sobie niewidzialny wielki Zabala i niewidzialny Japończyk Son, który przewodził pościgowi za pierwszym.

Jak tasowały się karty maratońskie na dalszych miejscach — nie wiedział megafon, zajęty pozycją najlepszych. W tej pozycji Japończyk Son, stowarzyszony z Anglikiem Harperem, inicjował nie-

Ian Parandowski

Dysk O

Poddawano się jednak urokowi łatwego ich przekraczania. Nagle Tespijczyk wyruszał na poszukiwanie siekiery i, chociaż miał własną w namiocie, przynosił ją od Bizantyjczyków, Meseńczyk odnajdywał swego psa w dalekiem Epirus, wyspa Samos poila wodą Marsylję. Spędziło się coś w rodzaju dzieciannego snu, jakby u nóg wyrosły hermesowe skrzydła, świat wyrzucił się swego ogromu. Można było nareszcie odwiedzić go na wszystkich krawędziach, nasycić się smakiem obczyzny.

Każdy obóz miał własny kształt. Rozkład namiotów, spiętrzenie wozów, miejsce wybrane na śmietnik, nieznaczące szczegóły w pozorowanej jednolitości bezwiednie ulegały właściwościom kraju, z którego przyszły. Przeczawało się w nich rytm gór, dolin, wybrzeży, zwierzęta wyciągały szyję w różne strony, jakby od-

RATONU

spodzianki. Na dwudziestym ósmym kilometrze gwałtownie ubył Zabali zarobiony czas: z minuty i pięćdziesięciu sekund skurczył się do sekund trzydziestu czterech. Son atakował skutecznie swego wielkiego rywala i wywołał pierwsze obawy o argentyńskie szanse. Oderwał się od boku Japończyka Harper — o dwie sekundy wtyle. Zgubił się na dalszych — nienotowanych przez megafon miejscach Indianin Brown. A zato niespodziewanie na siódme, ósme i dziewiątą pozycję wpłynęli nagle odnalezieni Finnowie, Tamilla, Muinonen i Tarkainen, królowie długich dystansów, biegnący razem — ramię w ramię, bok o bok, w pysznym stylu, w pięknej pracy ramion, w wydłużonym kroku.

Swami biegł wówczas w końcowym członie rozwiniętego na kilka kilometrów węża maratończyków. Nie mijali nikogo, choć mijali kilometry dystansu i ostateczny cel biegu leżał już na drodze powrotnej. Asfaltowa taśma Avusu wyciągała się w nieskończoność, płynęła chyba razem z umęczonym krokiem — jak ruchome schody w wielkim magazynie Berlina. Swami myślał o tem, że wody Gangesu są chłodne i koją zmęczenie, że od wielu minut paszcza megafonu nie skanduje dwóch sylab jego nazwiska, na które czekają tysiące uszu w dalekich Indjach.

Swami pomyślał także, że czas przecież otworzyć atak na tych, którzy go przedtem minęli i których imię wylatuje z metalowego głośnika. Wzmocnił pracę nóg — zachwiały się lekko. Rozgrzany, miękki asfalt silnie kleił podeszwy. Zar słońca nabierał ciężaru, przybijał do ziemi, jak wielki kamień. Swami dostrzegł nagle biegnący obok siebie cień: nadmiernie pochylony do przodu, przycięte sztywno kolana, ręce opadające nisko. W tej samej chwili odczuł rzeźwiący chłód, chłodną wilgoć: biały sanitarjusz, biegnąc obok, obcierał mu plecy mokrą gąbką. Poderwał się i podziękował głową.

JAPONCZYK SON NA CZELE

W tej chwili właśnie żółty Son zniweczył przewagę Zabali i na trzydziestym pierwszym kilometrze mijając mistrza Maratonu z Los Angeles, na piętach ciągnąc nieodstępnie Harpera. Nadciągnęła w niezmiennym rytmie wspaniała trójka Finnow, a za nimi przedarł się poprzez Zabale mają Japończyk Nan, nagle wydobyty z tłoku spóźnionych.

ZABALA ZEMDLAŁ

Posterunek kontrolny na trzydziestym trzecim kilometrze nie notował już Zabali, a w parę minut później megafon na stadionie olimpijskim meldował, że czołowy dotąd maratończyk zemdlął na trasie. Zrezygnował z biegu w kilka minut później czerwonoskóry Brown, doszczętnie wypruty z sił. Został Fialka z naciągniętym ścięgnem. Japończyk Son objął prowadzenie biegu.

Impijski

5)

gadując kierunek rodzinnych obór i stajni. Ubrań ludzkich trzymały się wszystkie klimaty. Arkadyjczy z pod chłodnych wierchów nie rozstawali się z kożuchem, dokoła brązowej nagości mieszkańców Libji szerzyła się pustynia, gdzie niema ani wody, ani deszczu, gdzie nawet rosa nie pada. I jakby każdy przyniósł trochę powietrza swej ziemi, poznawało się je po odrębnym zapachu obozów. Szedł niewiadomo skąd, od ludzi i sprzątek, wynikał z rozchylonych namiotów, z pośród trocin i śmieci, w których oddawały ostatnie technienie liście, żdzbla trawy, zeschnięte kwiaty, przyniesione w bagażach. Zdarzało się, że z fałdów płaszcza, który długo leżał w skrzyni, wylatywał motyl, porzucając kokon wplątany między nitki wełny, i trzepotał w swych niezwykłych barwach, niby duch obcego ładu



Olimpiada w Berlinie — defilada zawodników

Swami przebiegał obok posterunku kontrolnego na trzydziestym trzecim kilometrze w chwili, kiedy sanitarne nosze pieczołowicie dźwigały zmęczone wysiłkiem ofiary dystansu. Po przeciwnej stronie błyszczące od słońca fale jeziora kołysały się miękko i chłodno. Białe żagle pełnym oddechem przeżyły się na wietrze. Ściany widzów, znużonych czekaniem, pękały wyrwanymi. Nieczyje ręce nie składały się do okłasku dla spóźnionego maratończyka.

Megafon zapowiadał coraz prędzej — zbliżał się Son. Nowy rekord olimpijski wisiał w powietrzu. Nareszcie — żółta postać wyleciała z mara-

tońskiego tunelu i w pięknym, ostrym finiszu potoczyła się po bieżni ku mecie.

Stadion nabrzmiewał rykiem entuzjazmu. Krzyk powielekroć urywał się na wysokim, spazmatycznym tonie, żeby po chwili zabrzmieć głęboko i nisko. Dłonie puchły od okłasków. Schrypiąły głosy.

Son odrzucił podawany mu pled i podsuwane usłużnie ramiona pomocy. Usiadł na trawie boiska. Szybko zrzucił z nóg pantofle, podarte na asfaltach szosy. Wstał, uściśnął kilka dłoni i bosy, pięknym, długim, niezmeńczonym krokiem — zbiegł ze stadionu.

Różnorodny obyczaj wglądał z każdej czynności. Przez gęsty ludzki szły strefy, równoleżniki i południki, objawiał się w nich byt pasterzy, rolników, kupców, żeglarzy; rozeń w rękach spartańskich obracał się wartkim szeptem włóczni, Argiweczyk siedział na zydlu jak na grzbiecie końskim, mieszkańca I. sów poznawało się po bezszelestnym kroku.

W tysięcznych niespodziankach oddalano się i znów zbliżano do siebie. Język rozbity na niezliczone narzecza i gwary, w kolonjach porosły cudzym chwastem, stwarzał gorszące nieporozumienia. Pospolity przedmiot, sprzęt powszedniego użytku okrywał się nagle tajemnicą, której niepodobna było wytłumaczyć w dwóch krańcach obozowiska. Akcenty, spółgłoski, przydechy, rodzaje podlegały niepojętym kaprysom, nawet nie można było zaufać samogłoskom, tak dalece przekształcały się w rozchyleniu gardła, układzie ust, nacisku zębów. Ze słów pozostawał często nagi pień, sam rdzeń dźwięku, któremu niepamiętne wieki powierzyły sens danej rzeczy. Ale jakże szybko i wyniośle rozrastały się te odzinki w słuchu i w sercu! Raz pochwycone i pojęte odnajdywały swe korzenie, szerzyły się w gałęzie, kwitły olbrzymiem ulistwieniem, w którym jednak trwał cień, rozkoszny cień obszarów i czasu.

W jasnym poczuciu wspólnoty majaczyły zarysy pradawnego bytu, kiedy jeszcze wszystkie szczepy były razem,

kiedy podobne obozowisko, otoczone szumem stepów północnych, ważyło myśl wędrowki i podbojów. Gdzie to było? kiedy to było? Żadne wspomnienie, żaden mit nie podaje o tem wieści. A jednak musiał być czas, kiedy nie było ani Dorów, ani Eolów, ani Jonów, tylko jeden naród sprzęgnięty owemi ścięgniemi, które i teraz przenoszą myśli po różnorodnych wargach. Inaczej skądżeby się brało to dziwne włókienko ciepła, które rzekłbyś do samej duszy przesyłwa każdy szelest wspólnej obecności?

Wielu znało się z poprzednich olimpiad, odnajdywali się towarzysze jakichś wspólnych przygód, przypominały się twarze widziane w dalekich portach, w półmroku zajazdów, najbardziej ustronne drogi ludzkie, powiązane kiedyś przypadkiem, znów schodziły się nieoczekiwanie. Co chwila wybuchały krzykliwe spotkania.

— Na Dzeusa! Kogo widzisz?

— Pewnie znów miałeś burzę?

— Ale jaką! Już słyszałem Syreny.

— Tak, tak. W naszym wieku moglibyśmy już zostać w domu.

— Nie, to okropna rzecz pomyśleć, że umrzesz w łóżku, w którym się na świat przyszedł.

— Co mi tam mówisz o latach!...

Każdy czuł się tak młody, że cały świat wydawał mu się w wieku dziewczyny, która oto szybko przebiega między

(DC na str. 12)

Reflektorem po świecie

Po raz pierwszy w Warszawie

Pierwsza gazeta ukazała się w Warszawie w drugiej połowie maja przed 275 laty. Był to wychodzący w odstępach tygodniowych: „Merkuryusz Polski ordynaryjny dzieje wszystkiego świata w sobie samycająca dla informacuy popospolity...” Merkurjusza wydawał Jan Alexander Górczyn — do maja 1661 r. w Krakowie, poczem redakcję przeniósł do Warszawy.

Pierwszą książkę wydrukował w Warszawie drukarz Mikolaj Scharfenberger w 1578 r. Zawierała ona tragedję Jana Kochanowskiego: „Odprawa posłów greckich”. Tragedję tę wystawiono wówczas w teatrze ujazdowskim z okazji ślubu Jana Zamoyckiego s Krystyną Radziwiłłówną.

Pierwszą litografię w Warszawie założyło Kwatermistrzostwo Jeneralne wojska w 1819 r. W następnym roku powstał prywatny zakład litograficzny Ludwika Letronne.

Pierwszą księgarnię w Warszawie założył w połowie XVI wieku Jan Gieras. Jego następcy, Paweł Fabrycy (1586) i Jan Modzelewski (1598), mieli przywilej wyłącznego sprzedawania książek w Warszawie. Jedynie w czasie trwania sejmów i jarmarków wolno było sprzedawać książki również księgarzom przyjezdnym.

Pierwsza biblioteka publiczna, zbiory Załuskich przy ul. Daniłowiczowskiej, została otwarta 27 lipca 1746 r.

Za najdawniejszy w Warszawie uchodzi według jednych kronikarzy: kościół św. Jerzego przy ul. Sto-Jerskiej (1195), według innych zaś: kościół św. Jana (około 1250 r.). Na kościele św. Jerzego, w którym chowano zwłoki skazanych na śmierć, znajdowała się chorągiewka, wyobrażająca: „człowieka uciętą głowę mającego”.

Najdawniejszym z istniejących jest szpital św. Ducha.

Pierwsza wiadomość o łaźniach w Warszawie pochodzi z 1376 r. Wówczas to książę Janusz Mazowiecki nadał przywilej na wybudowanie łaźni, zastrzegając „dla siebie, żony swej i dworu jeden dzień wolny do kąpieli bez żadnej opłaty”.

W 1782 r. kolegium Pijarów w swej drukarni rozpoczęło drukować „Volumina legum” (dzisiejszy „Dziennik Ustaw”).

Bank Polski rozpoczął swą działalność 6 maja

1828 r. Gielda została otwarta 12 maja 1817 r. „Urządzenia hypoteczne” zaprowadzono w 1797 r. Lombard „pod dyrekcyę Magistratu poddany” powstał w 1797 r. Pobierał od pożyczek pod zastaw 8 proc.

Pierwsza stała poczta w Warszawie (na podstawie ustawy sejmowej z 1647 r.) została zaprowadzona w 1649 r. Pierwszym magistrem poczty był sekretarz króla Jana Kazimierza, Karol Montelupi.

Otwarcie ruchu kolei żelaznej odbyło się 14 czerwca 1845 r. Ukończona w 1847 r. „nieprzerwaną siecią łączy Warszawę ze wszystkimi prawie znacniejszymi miastami zachodniej Europy i szerokie pole dla handlu i przyszłej pomyślności tutejszego miasta otwiera”.

Pierwszy autobus od 1822 r. odbywał „między Warszawą a Bielanami bieg regularny”. Pierwsza „loterya klasyczna na trzy klasy podzielona” została uruchomiona w 1748 r.

Nadanie stałych nazw ulicom warszawskim i przymocowanie na ich rogach odpowiednich tabliczek odbyło się w 1772 r. Poprzednio ulice „nie miały stałych nazwisk, chyba zwyczajem utrwalonych; były zaś takie, co po kilka rozmaitych nosiły, jak się komu podobało”. Warszawa z przedmieściami posiadała wówczas 190 ulic.

W tym samym w 1772 r. wprowadzono oświetlenie ulic. Ta inowacja miała zapobiec powtórzeniu się uprowadzenia króla, co udało się przy ul. Miodowej 3 listopada 1771 r. o godzinie 9 i pół wieczorem. Od 1754 r. paliły się wprawdzie latarnie w dwóch bramach miejskich i przed ratuszem na rynku, oraz od 1755 r. również latarnie przed pałacami i większymi kamienicami, lecz dawały tak mało światła, że w porze nocnej przechodnie sami sobie latarkami oświetlali drogę.

W 1772 r. założono w Warszawie pierwsze publiczne studnie.

Po raz pierwszy oznaczono domy warszawskie numerami w 1784 r. Zarządziła to Komisja brukowa dekretem z 30 marca tego roku. Umieszczono wówczas „nad bramami lub drzwiami... liczby farbą czarną” na 3.041 posesjach. Poprzednio określano domy bądź „gdzie piekarnik”, „pod okrętem” i t. p.

Straż pożarna o stałej załodze istnieje w War-

szawie od 1 stycznia 1836 r. Poprzednio na miejsce pożaru obowiązany był udawać się każdy właściciel realności, lub wysyłać parobka z narzędziami do gaszenia ognia. Gromadził się więc tłum ludzi, którzy raczej przeszkadzali, niż pomagali. Celem „nagradzania szkód z pożarów wynikających” powstało w 1804 r. Towarzystwo ogniowe.

Od 1796 r. Warszawa posiadała policję lekarską. Wprowadziła ona w 1800 r. szczypanie opy. Zabieg ten miał licznych przeciwników.

Pierwsza publiczna maskarada odbyła się w Warszawie 19 marca 1801 r. Od 1817 r. maskarady odbywały się w teatralnych salach reductowych. Pierwszy raz w 1771 r. „w Warszawie częstował poczem Stępkowski, wojewoda kijowski, przybywszy z Gdańska”. Wkrótce potem „zaczęto sprzedawać poncz” w cukierni na rogu Freta i 6-to Jerskiej.

Też...

ALE NIEOLIMPIJSKIE. U każdego człowieka dążenie do odznaczenia się na jakimkolwiek polu prowadzi jednych na wyżyny sławy naukowej, innych jeszcze na heroiczne wyżyny bohaterstwa, zdobi piersi olimpijskim medalem... lub sprowadza na piaszczynę śmieszności.

Szczególny tytuł do „sławy” zdobył w Ameryce 15-letni Vincent Sullivan. Twarz tego chłopca, o dobroliwie szelmowskim uśmiechu, pokryta jest całą piegami. Pewnego dnia odkrył go reporter, polujący na rzeczy „najgodniejsze uwagi”. I Sullivan, nieznanany chłopiec, pedzący u rodziców żywot urwi-polcia, wypłynął na szpaltach wszystkich pism, dostał się na ekrany, zdobył szampionat brzydoty.

Niemniej głośny jest drugi szampion zaręczoności. Jest nim pewien Egipcjanin, oddawna osiadły w Ameryce, Hassah Zakyah, rodem z Kairu, który potrafi za jednym posiedzeniem zjeść 60 bochenków chleba.

W Rhode Island niepospolitą sławą cieszy się Włoch Thomas Placco, którego specjalnością, zgodnie z narodową tradycją, jest polykanie włoskiego makaronu. Jury konkursowe obliczyło, że potrafi

Jan Parandowski

Dysk Olimpijski

namiotami. Znika i tylko jej głos słychać za płóciennymi drzwiami, jej miękki, lekki głos, złoty wior pośród tych wszystkich męskich chrząstów, które nagle pomilkły.

W całym obozie niema ani jednej kobiety. Zostały w domu, albowiem prawo zabrania im wejść do gaju świętego w porze igrzysk, nawet Alfejosu przekroczyć im nie wolno. Tam, za rzeką, w stronę Skilluntu, widać skałę Typajską, skąd straconoby winowajczynię. Za pamięci ludzkiej nigdy się to jeszcze nie zdarzyło.

Ale prawo jest szanowane, chociaż nikt już nie ma pojęcia, skąd się wzięło. Jakiś zamierzchny przesąd bytu rolniczego odtrącił kobiety, by nie osłabiały siły urodzajów- odtrącił je od obrzędów olimpijskich tak samo, jak nie dopuścił ich do kultu patrona zboża, Eunostosa w Tanagrze, i jak zamknął przed niemi świątynie Kronosa. Tylko dziewczęta korzystały z odwiecznego przywileju swojej czystości.

Wśród nich była jedna, której imię krążyło po całym obozie.

Szła, wsparta na ramieniu ojca, nieomal równa mu wzrostem. Peplos dorycki, w swym oszczędnym kroju, nie pochłaniał jej ciała, nie zagrzebywał w obfitości materji. Odczuwało się jędrną doj-

rzalność jej kształtów poprzez ten kawał sukna, który, ściągnięty w pasie, biegł w dół długimi równoległymi fałdami. Za każdym krokiem fałdy rozszerzały się, pod miękka wełną odsłaniał się zarys nogi, pełny i doskonały. Szeroka w barkach, o śmiałych piersiach, które przeżyły się pod osłaniającą je apotygmą, smagłością ramion, szyi, stóp wylaniających się z sandałów, opowiadała światu o swem ciełe, wychowanem przez słońce wybrzeży i wiatry morza.

Urodzona w Skione, na półwyspie paleńskim, Hydna towarzyszyła ojcu, Skyllisowi, w jego wyprawach na polów gąbek. Jeszcze napwół dziecinnymi rękami odrywała ze skał podwodnych te galaretowate krzewy żyjące, coraz wytrwalsza w walce z morzem, z ciężarem fał, w które zapada, coraz szybsza i dokładniejsza w pracy pośród błękitnych mroków głębi. Płuca dojrzały do niezwykłej siły oddechu, powietrze, zaczerpnięte na powierzchni morza, trwało w nich tak długo, że Skyllis, który pierwszy wypływał, musiał za każdym razem przeżywać ten sam lęk i tę samą radość. Wychylała się nareszcie- ponad wodą wytryskał na mgnicie oka jej tors- rozdygota-

5)

ny wysiłkiem płuc, które otwierały się jakby na cały przestwór świata, i już znowu była świetlistym ruchem, cząstką płynnego żywiołu, póki z ostatnią falą nie rozstała się na wybrzeżu.

Nigdy nie wyobrażała sobie, że jej sztuka może się przydać na coś innego, oprócz połowu gąbek. Ale oto przychodzi wojna, nastaje jakby zmierzch świata, ogromna powódź ludzka zmywa ich dom, morze bije tysiącami wiosł, ich łódź ucepciona do nieznanego statku płynię z północno - wschodnim wiatrem. Nie wiadomo, ile czasu przetrwali w tym dzielnym zamęcie. Niebo, morze i ziemia wrzeszczały wszystkimi językami, z których ani jedno słowo nie było podobne do ludzkiej mowy. Wszystko, co żyła przez cały ten czas zrozumiwała, mieściło się w tem zdaniu: „Trzeba im poodrywać kotwice”. Był to głos ojca, stłumiony i nikły, ledwo dostyszalny poza huktem burzy w noc czarną jak ziemia.

I zaczęło się wędrowanie pod falami. Podpływały pod okręty, pełzali w szlamistym, wirującym mroku, póki ich ręce nie trafiły na linę kotwiczną; wtedy szarpali ją, wydzielali żelazne kły białe w dno, i wynurzali się dla nabrania oddechu. Huragan jak piorun przeszywał im płuca, trząsk statku, który wicher porwał, i rozpaczliwy krzyk załogi ponnażał na chwilę łoskot burzy, ale oni znów szli pod wodę i znów inny okręt leciał w przepaść nocy. Kilkadziesiąt okrętów perskich puścili na śmierć.

Trzynaście tragicznych godzin

W londyńskim piśmie „Sunday Express” b. oficer łodzi podwodnej, Robert Sims, opublikował swoje wspomnienia z walk morskich o Dardanele. Poniżej przytaczamy w streszczeniu historię ostatnich godzin angielskiej łodzi podwodnej E 7, kierowanej przez sir Archibalda Cochrane.

Szliśmy naszą drogą przez ciemny. Znale nam były dobrze wszelkie niebezpieczeństwa, gdyż zanim którakolwiek łódź wyruszyła w te strony, była ona pod dokładną obserwacją naszych samolotów. Tem niemniej nie lekceważyliśmy mądrze porozwieszanych sieci, ani gęstych linii min.

Udało nam się też szczęśliwie ominąć wszystkie zasadzki, za wyjątkiem ostatniej, koło Nagary.

Było to o 6.30 rano, płynęliśmy tuż pod powierzchnią i w peryskopie, w odległości 200 jardów, widniały już doki Kilid Bahr, gdy nagle nad nami

rekordy

o w ciągu minuty polknąć niemniej jak sto metrów tego przysmaku.

Inny mieszkaniec Rhode Island Gus Constock potrafi wypić od razu 62 filiżanki kawy. Mr. Paoloni, miss Rampas i Mr. Clement zdobyli sobie uznanie swych współziomków największą ilością wypalonych cygar i papierosów. Podobno Mr. Paoloni potrafi wypalić 100 papierosów na godzinę. Rekord trudny do pobicia.

Sławą Long Beach jest Miss Alice Kremko, pokojowa w jednym z hotelów tej miejscowości kuracyjnej, która na konkursie slania łódek zdobyła pierwszą nagrodę za najszybsze i najgustowniejsze ustanie łoża.

Wreszcie jeszcze jeden rekord, podyktowany jedynie ciekawością. Pobila go miss Helene Johnson, która, nie bacząc na przestrogi swych rówieśniczek, opuściła się w kuli stalowej na głębokość 150 m. Nie jest to rekordowa głębina. Dla ciekawości kobiecie jednak dosyć opuścić się na 150 m. i niezwłocznie dać się wyciągnąć na powierzchnię, aby corychlej stanąć przed obliczem foto-reportera i tą drogą uzyskać choć trochę rozgłosu.

To było ich dzieło, Skyllisa ze Skione i jego córki, Hydny. Przyniesli o niem wieść sami, przepłynawszy którejs z następnych nocy z Afetaj do Artemisjon.

— Patrz, ośmdziesiąt stadjów przepłynęła ta dziewczyna.

— Myślisz, że nie mieli łódki?

— O jakiej łódce mówisz? Zapytaj Lykomedesa, syna Aischreasa, jeśli tu gdzieś jest. On był trierarchem tego statku, do którego dziewczyna podpłynęła. Rzucił jej line. Wspięła się po niej prędzej, niż byś ty to zrobił.

— I powiedzcie, że oni nie przyszli z pustymi rękami. Nasi dowódcy od nich dopiero dowiedzieli się czegoś pewnego o ruchach floty perskiej.

To piękna rzecz taka dziewczyna i taki obóz, napelniony wielkimi zdarzeniami!

Cudem znalazły się obok siebie namioty Ateńczyków, Spartan, Tegeatów, Koryntu, Potidai, Sikyonu, Epidaurus, Trojdeny, brakowało tylko kapliczki Androkratesa i źródła Gargafia, aby te niskie wzgórza i równinę dookoła wziąć za pole walki pod Platejami. Towarzysze broni witali się z tem radosnem zdumieniem, z jakim spotykają się ludzie, którzy przetrwali zle czasy. Wzbijał się nad nimi zgiełk wspomnień. Ktoś komuś uratował życie, ktoś kogoś wyniósł z bitwy, ranni pokazywali sobie zagojone blizny. Westnieniem posilano dusze umarłych. A kiedy już brakło słów, mówiono: Na Dzeusa! Na Palladę! Na Hermes! Na Aiaka! Cały Olimp krzyczał w ich radości.

zaczęły pękać pociski trzech tureckich baterij przybrzeżnych. Daliśmy nurka, ale po krótkiej chwili znów wypłynęliśmy, by raz jeszcze spojrzeć na brzeg. Wiedzieliśmy jednak, że w pobliżu znajduje się sieć i znów zesłiliśmy na głębokość stu stóp. Szliśmy oboma maszynami i ich dudnienie było jedynym odgłosem, który nas dochodził. Obok dwóch marynarzy zawzięcie grało w karty. Było cicho.

Nagle wstrząsnęło nami tak straszliwie, jakbyśmy wpadli na górę podmorską; zachwiało naszym statkiem, rozrzuciło karty na wszystkie strony.

— Ja jestem na ręku! — wrzasnął w tej chwili jeden z grających. Niestety! Nigdy już nie doszedł do tego, by „dojść do ręki”. Zmarł w tureckiej niewoli.

Po paru sekundach nastąpiło drugie wstrząśnienie, które rzuciło nas w przeciwnym kierunku. Odrazu zrozumieliśmy, co się stało. Byliśmy w sieci.

Jeden jedyny człowiek wiedział, co nam rzeczywiście grozi. Był to komandor Cochrane. Ale twarz jego w tej chwili wyrażała zupełny spokój.

— Zatrzymać oba motory — rozkazał.

Dziób nasz przerwał sieć, która częściowo omotała się wokół łodzi. Nasz prawy motor był nie do użytku. Pozatem wszystko było w porządku. „Archie” rzucił rozkazami. Łódź pokazała wszystkie swoje sztuczki, jak koń na arenie.

Cofaliśmy się, rzucaliśmy się naprzód, chcąc przerwać więzy, nurkowaliśmy i szybko podnosiliśmy się. Ale wszelkie wysiłki tylko bardziej wplątywały nas w sieć.

Mięła godzina od chwili zanurzenia, gdy usłyszeliśmy potężny huk. Było jasne, że zostaliśmy przez stróżę sieci wysłędzeni. Jednakże E 7 była jeszcze w dobrym stanie. Znów ruszyliśmy naprzód i wtył, w górę i w dół, ale sieci trzymały mocno. Po dwóch godzinach szmotała nadeszło to, czegośmy się dawno spodziewali.

Straszliwy wybuch zatrząsnął nami, jak gałązką. Mina runęła gdzieś w pobliżu nas. Ale uderzenie nie było celne. Uszkodzeń nie było; przeciwnie — mina zrobiła dobry uczynek, bo rozluźniła nieco więzy, które nas krepowały. Potem dopiero zrozumieliśmy, że nasz komandor na to właśnie liczył, gdy zaraz potem rozkazał zanurzyć się możliwie głę-

boko. Chciał, gdy wybuchy przerwą częściowo sieci, nagłym skokiem wydobyc się z pułapki.

Tymczasem jednak powstały inne problemy. Baterje się wyczerpywały. Światło świeciło coraz słabiej; zaczynało braknąć powietrza.

Nas, oficerów, zawałał kapitan na dziób statku. W krótkich słowach przedstawił sytuację: „Nieprzyjaciół jest nad nami. To jest zabawa w kotka i myszkę. Jeśli mamy wyjść na powierzchnię, musicie być przygotowani na pływanie”.

Sternik Steker Wilson zawałał: „A co ze mną, Ja nie umiem pływać!”

Z pływaniem Wilsona była szczególna historia. Ten dzielny marynarz w żaden sposób nie mógł się tego nauczyć. Na nie były wszelkie nasze wysiłki. Chwila konsternacji.

A nagle Johnston: „Przecież to świetna okazja, byś się nareszcie nauczył pływać?”

Ryknęliśmy śmiechem.

Ale komandor Cochrane nie tracił nadziei na uratowanie łodzi. Spalił parę ważniejszych dokumentów i rozkazał zagięć się. Był to bardzo głęboki nurek, zapewne przekraczający 200 stóp. Potężny nacisk, jaki E 7 wywierała na sieć przy nurkowaniu, musiał, oczywiście, dokładnie wyznaczyć wrogom na powierzchni naszą pozycję. Ale o to widocznie chodziło komandorowi.

Znów straszliwy wybuch rzucił nas o posadzkę. Mina uderzyła parę stóp obok naszej łodzi. Elektryczne połączenia zostały od wstrząsu zniszczone. Zapanowała ciemność.

Tkwiliśmy tak w ciszy i w głębi. Powietrze stawało się zgnile i coraz cięższe było oddychać. Fosforujący zegarek mówił, że ranek zamienił się w południe, które z kolei skłaniało się ku wieczorowi.

Wtedy komandor powziął ostateczną decyzję. Zawałał mnie i rozkazał wszystko przygotować do wysadzenia łodzi w powietrze. Spakowałem razem trzydzieści ładunków bawełny strzelniczej. Następnie przygotowałem zapalnik piętnastominutowy i przeciągnąłem go od bawełny strzelniczej do podstawy peryskopu, gdzie zapalnik połączony był z pistoletem.

Komandor miał tylko, wychodząc jako ostatni, wystrzelić z pistoletu. Wtedy będziemy mieli pięćdziesiąt minut czasu.

Nagle usłyszałem rozkaz: „Wszyscy na swoje miejsca!”. A potem: „Opróżnić zewnętrzne zbiorniki!”

Poczęliśmy piąć się w górę. I, o dziwo, podnosząc się, łódź otrząsnęła sieci i po chwili kołysaliśmy się już łagodnie na powierzchni. Należałoby powstąpić panika. Padły na nas lekkie pociski z brzegu i z motorowców, które nas otoczyły. Wkrótce jednak zamieszanie ustało. Turcy chcieli zdobyć angielską łódź podwodną niektniętą.

Porucznik Scaife, który znał turecki, wyszedł pierwszy i przejął rozkaz z tureckiej łodzi motorowej poddania E 7.

Komandor otworzył zewnętrzne wyjścia. Byłem przedostatni z wychodzących. Pnąc się po drabince, ujrzałem, jak „Archie” wystrzelił z pistoletu. Strzał ten był dla mnie, jak pchnięcie sztyltem. Wszyscy kochaliśmy E 7.

Stałem w motorówce obok niemieckiego oficera, który umiał po angielsku. Pytał się mnie o E 7 i widocznie miał zamiar zaczepić się o nią.

— Lepiej niech pan tego nie robi — powiedziałem — to bardzo niezdrowe miejsce.

— Dlaczego niezdrowe? — zapytał.

— Ponieważ w niecałe pięć minut łódź wyleci w powietrze, a razem z nią wszyscy ci, którzy są na jej pokładzie.

Na to wszystkie motorówki natychmiast pełną parą ruszyły, byle dalej od łodzi! Istne wyścigi! Była godz. 7.30. Słońce już zachodziło i rzucało rude, ukośne promienie na wodę.

Zapomniałem nagle o tych strasznych trzynastu godzinach, jakie mieliśmy po za sobą, o aniele śmierci, który dotknął już nas swymi skrzydłami. Wpatrzony byłem w wysmukły peryskop, który widać było ponad wodą. Czekał.

Wreszcie przyszło: huk, olbrzymia fontanna wody, góra piany; cios w samo serce.

Przecież ja sam, własną rękoma ułożyłem zapalnik, który zniszczył życie E 7, łodzi, która znaczyła dla nas tak wiele...

TARGOWISKO

Niezliczone budy, kramy, stragany ciągnęły się nad ujściem dróg, prowadzących do Olimpji, i po krańcach obozu, sięgając aż do Harpiny. Agoranomi, urzędnicy targowi, rozstrzygali spory o wagi i miary i dogładałi porządku. Każdy rodzaj handlu miał swoje miejsce. Wszystko, co służyło do jedzenia, trzymało się razem.

Najobfitsze było królestwo ryb. Obszerne kadzie kłębiły się gorączkowem życiem tłustych, mięsistych ciał. Szedł z nich odór gęstego błota, w które powoli zmieniała się woda pod wpływem słońca i kurzu. Ale gorzej wiodło się rybam, będącym w danej chwili przedmiotem targu; twardo znosiły nieustępliwość ludzkich sakiewek. Leżały na desce straganu z wyprężonemi skrzelami, których nie ożywiła ani kropla wilgoci w suchem i spiekłem powietrzu. Czasem wrały do kadzi, najczęściej nóż przecinał im gardła. Patrzył na to posępnie rzeźnik, osamotniony w tym rybnym zgiełku. Pólnagi, w okrwawionym fartuchu, odpędzał gałęzią wielkie czarne muchy, jedynych gości swej jatki. W dojmujący upał trudno było zwabić kogokolwiek widokiem mięsa i, sądząc po sinawych plamach, należało przypuszczać, że stanie się ono łupem psów, które, uwiązane pod wozami, wyły z głodu i pragnienia.

(Dokończenie nastąpi)

ANNA ROLA KOLUMNĄ MŁODYCH

III-cie Święto Sportu Polskiego w Łotwie

III-cie Święto Sportu Polskiego w Łotwie odbyło się, jak zapowiadaliśmy, w dniach 22 i 23 b. m. w Rezekne.

Już poraz trzeci zrządu Związek Polskiej Młodzieży (ZPM) w Łotwie podejmował organizację tego rodzaju imprezy, będącej niejako, oczywiście w miniaturze, igrzyskami olimpijskimi młodej Polonji łotewskiej, na których, w ogniu walki, młodzież nasza wykazała się mogła rezultatami pracy, podejmowanej ostatnio coraz szerzej pod hasłem propagowania i rozwoju właściwie rozumianej kultury fizycznej.

Ogromny wysiłek organizacyjny, na jaki musiał się zdobyć Związek, ażeby III-cie Święto Sportu Polskiego w Łotwie wypadło jaknajlepiej — opłacił się sownie zarówno pod względem wagi moralnej Święta w naszym skromnym życiu społecznym, jak i pod względem wyników w dziedzinie sportu i wychowania fizycznego, zareprezentowanych przez młodzież polską z poszczególnych ośrodków naszego życia organizacyjnego.

Należy przyznać, że Zarząd Główny Związku zrobił wszystko, ażeby Święto Sportu wypadło jaknajlepiej i jeżeli pewne, zwykle przy tego rodzaju ogromnej pracy organizacyjnej, niedociągnięcia miały nawet miejsce — należy je zaliczyć jedynie na karb naszych ogólnych wad społecznych: m. in. na karb braku dyscypliny, nazbyt chorobliwie rozwiniętych i wręcz fałszywych „patriotyzmów” lokalnych oraz — wreszcie — na karb naszej łatwości, wypływającej zresztą z dobrej woli, z jaką pozwałamy, ażeby na zasadniczo zdrowym ciele naszego społeczeństwa żerowały pasorzyty, wykorzystujące naszą dobrą wiarę dla swoich niewyrażonych i zawsze destrukcyjnych celów.

Słońce śmiało się i — wydaje się — cieszyło wraz z uczestnikami Święta z tego ruchu, jaki panował przez 2 dni na największym stadjonie sportowym (ASK) w Rezekne.

Bo też istotnie stadjon ten dawno nie oglądał na swej zielonej murawie, opasanej białą bieżnią, takiej ilości sportowców i gości, jaka w ubiegłą sobotę i niedzielę skupiła się w jego granicach, ażeby przyjrzeć się obszerne programowi konkurencyj III-go Święta Sportu Polskiego w Łotwie.

Już sam spis czynnych uczestników Święta wykazuje 200 osób, reprezentujących:

- I. Polski Klub Sportowy w Rydze „Reduta” (48 osób).
- II. Polsko - Katolickie Stowarzyszenie „Harfa” w Daugawpilsie — (51 osób).
- III. Związek Polskiej Młodzieży w Łotwie:

- 1) Filję w Daugawpilsie (51 osoba)
- 2) Filję w Rezekne (25 osoby)
- 3) Filję w Dementie (5 osoby)
- 4) Filję w Krasławie (7 osób)
- 5) Filję w Łudzie (12 osób)

- 6) Filję w Juchnikach (8 osób)
- 7) Filję w Liepai (15 osób)
- 8) Filję w Jelgawie (2 osoby).

Czynni uczestnicy Święta reprezentowali więc, jak wynika z powyższego zestawienia, dziesięć organizacyjnych ośrodków polskich w Łotwie, z których na „Reduta” i „Harfa” przypada 99 oraz na ZPM — 101 sportowców.

W skład Honorowego Kolegium Sędziów Święta Sportu wchodziło 6 osób: pp. J. Wilpiszewski, A. Talat - Kiełpsz, W. Ichnatowicz, A. Sosnowski, J. Bryc oraz w skład Kolegium Sędziów — 21 osoba.

Ogólne kierownictwo Święta spoczywało w wypróbowanym już ręku p. A. Sosnowskiego, kierownikiem odpowiedzialnym był prezes filji Rezekneńskiej ZPM kol. M. Erdman, sekretarzem kol. W. Rudź oraz informacją kierował koleldy B. Leonowicz i I. Salewicz.

Uroczystość III-go Święta Sportu rozpoczęto punktualnie — według przewidzianego programu — o godz. 15 w dniu 22 b. m. defiladą zawodników.

Po defiladzie, Prezes Zarządu Głównego ZPM, kol. Włodzimierz Ichnatowicz, przez megafon, ułożony tuż przy łożu honorowej, ogłosił otwarcie Święta, po czym nastąpiły rozgrywki w poszczególnych konkurencjach, przewidzianych w programie.

Wieczorem, po zakończeniu rozgrywek, w lokalu Towarzystwa Łotewskiego odbyła się wspólna kolacja dla uczestników Święta i gości.

Nazajutrz, w niedzielę 23 b. m., odbył się dalszy ciąg rozgrywek sportowych według programu z wyjątkiem pływania i zawodów kajakowych, które kierownictwo Święta musiało odwołać z powodu niskiego stanu wody na rzece, gdzie rozgrywki w tej konkurencji miały być przeprowadzone.

W przerwie, w godz. 15—16, odbył się wspólny obiad dla uczestników i gości oraz wieczorem — po zakończeniu roz-

grywek — o godz. 20 nastąpiło ogłoszenie wyników Święta oraz uroczystość wręczenia nagród zwyciężskim zespołom i poszczególnym sportowcom.

Nagrody rozdzielił p. A. Talat-Kiełpsz. Pożegnał sportowców i zamknął uroczystość Święta Sportu kolega prezes Włodzimierz Ichnatowicz.

Po zakończeniu Święta Sportu na stadionie, w lokalu filji Rezekneńskiej ZPM i w miejscowym Państwowym Gimnazjum Polskiem odbyły się wieczornice dla uczestników Święta i gości.

III-cie Święto Sportu Polskiego w Łotwie jest już poza nami. Wyjechaliśmy z Rezekne bogatsi o jeszcze jedno doświadczenie. Zarząd Główny ZPM, który Święto zorganizował, jak i wszyscy, którzy w nim brali udział, doświadczenie to wykorzystują niewątpliwie w dalszej swej pracy organizacyjnej.

Należy stwierdzić, że III-cie Święto Sportu było dla Związku Polskiej Młodzieży próbą, z której wyszedł z bardzo dobrymi wynikami: zarówno w sensie organizacyjnym oraz w sensie wyników sportowych, jak i — co najważniejsze — w sensie atmosfery, jaka cechowała wystąpienia czy to jego poszczególnych członków czy zespołów — zawsze i naprawdę godnie reprezentujących swoją organizację.

Za ten wysiłek organizacyjny i za ten mocny duch w Związku, nie dający się sprowokować ani spaczyć nawet w ogniu najgorętszej walki o zawsze względne sukcesy sportowe, jego władzom naczelnym, zarządom jego filij i wszystkim członkom należy się gorące uznanie i serdeczna wdzięczność całego społeczeństwa polskiego w Łotwie.

Podziękowanie

Wszystkim, którzy przyczynili się do wielkiego sukcesu III-go Święta Sportu Polskiego w Rezekne, składamy najserdeczniejsze podziękowanie i prawdziwie szczerze Bóg zapłać.

Zwłaszcza dziękujemy Prezesowi Jarosławowi Wilpiszewskiemu, Kuratorowi Antoniemu Talat - Kiełpszowi, Prezesowi Jerzemu Brycowi, Prezesowi Władysławowi Witanowi za objęcie obowiązków sędziów honorowych; pp. Aleksandrowi Sosnowskiemu za pełnienie obowiązków sędziego głównego, Uchcinowi oraz wszystkim sędziom sportowym, delegowanym z Polskiego Klubu Sportowego „Reduta”, z Polsko - Katolickiego Stowarzyszenia „Harfa” oraz z filji Związku Polskiej Młodzieży w Łotwie.

Za ufundowanie cennych nagród przednich gorąco dziękujemy Panu Mini-



Zwycięski zespół P. K. S. „Reduta” z Rygi w defiladzie na III-ciem Święcie Sportu Polskiego w Łotwie

Wyniki Sportowe Święta

I. LEKKA ATLETYKA.

a) w konkurencji męskiej

BIEGI:

- 100 m: 1) Malcewicz (Reduta) 11,7,
2) Pynkan (ZPM — Rezekne) 11,8,
3) Witan (Reduta) 11,9,
4) Janczewski (ZPM — Daugawpils),
5) Czyzewski (Harfa),
6) Surdeko (ZPM — Rezekne).
- 800 m: 1) Winiślaw (Reduta) 2.03,8,
2) Surdeko (ZPM — Rezekne) 2.13,3,
3) Matuszewski (ZPM — Daugawpils) 2.17,8,
4) Apsolon (Reduta) 2.21,
5) Swencz W. (Harfa) 2.23,8,
6) Augulewicz (ZPM — Daugawpils) 2.25,
- 1500 m: 1) Mazur (Reduta) 4.31,2,
2) Żołnierowicz (ZPM — Daugawpils) 4.35,0,
3) Cadko (ZPM — Liepaja) 4.52,
4) Apsolon (Reduta) 4.53,1,
5) Matuszewski (ZPM — Daugawpils),
6) Siniewicz (ZPM — Daugawpils).
- 5000 m: 1) Mazur (Reduta) 16.56,8,
2) Żołnierowicz (ZPM — Daugawpils) 18.15,
3) Siniewicz (ZPM — Daugawpils) 18.39,8,
4) Augulewicz (ZPM — Daugawpils).
- Sztafeta 4x100: 1) Reduta 47,4,
2) ZPM — Daugawpils 50,1,
3) ZPM — Liepaja 54,8.

SKOKI:

- wzwyż: 1) Pynkan (ZPM — Rezekne) 1,70,
2) Paulukiewicz (Reduta), Czechowicz F. (Harfa) 1,65,
4) Bielewicz (Harfa) 1,60,
5) Malcewicz i Winiślaw (Reduta) oraz Matuszewski (ZPM — Daugawpils) 1,50.
- w dal: 1) Pynkan (ZPM — Rezekne) 5,99,
2) Malcewicz (Reduta) 5,81,
3) Witan (Reduta) 5,80,
4) Traczum (Harfa) 5,36,
5) Krasowski (Harfa) 5,36,
6) Łapa (Harfa) 5,11.
- w rzuce: 1) Paulukiewicz (Reduta) 2,77,
2) Janczewski (ZPM — Daugawpils) 2,70,
3) Bielewicz (Harfa) 2,50,
4) Swencz (Harfa) 2,30.

RZUTY:

- kulą: 1) Bakanas (Reduta) 11,07,
2) Pynkan (ZPM — Rezekne) 10,87,
3) Czechowicz (Harfa) 10,84,
4) Malcewicz (Reduta) 10,10,
5) Winiślaw (Reduta) 9,78,
6) Paulukiewicz (Reduta) 9,55.
- dyiskiem: 1) Pynkan (ZPM — Rezekne) 35,22,
2) Czechowicz (Harfa) 33,70,

- 3) Pudan (Reduta) 31,50.
- oszczepem: 1) Paulukiewicz (Reduta) 45,65,
2) Traczum (Harfa) 40,78,
3) Bakanas (Reduta) 40,63,5,
4) Witan (Reduta) 40,46,
5) Pynkan (ZPM — Rezekne) 39,51,
6) Czechowicz F. (Harfa) 39,20,

WYNIKI PIĘCIOBOJU:

- 1) Reduta — 158 punktów,
2) Harfa — 145 punktów,
3) ZPM (Daugawpils) — 87 punktów.

b) w konkurencji kobiet

BIEGI:

- 60 m: 1) Wagulowiczówna } 8,4
2) Kurszycówna } Reduta 9,0
3) Wasilewska } 9,2
4) Karszelówna (ZPM — Daugawpils) 9,2,
5) Winczówna (ZPM — Liepaja),
6) Drodowska (ZPM — Daugawpils).
- 100 m: 1) Wagulowiczówna } 14,1
2) Wasilewska } Reduta 14,4
3) Kurszycówna } 14,5
4) Karszelówna (ZPM — Daugawpils),
5) Miż-Miszynówna W. (ZPM — Daugawpils),
6) Rudziowa (ZPM — Daugawpils).
- 800 m: 1) Winczówna (ZPM — Liepaja) 2,45,3,
2) Kozłowska (ZPM — Juchniki) 2,46,1,
3) Gajewiczówna (ZPM — Daugawpils) 2,48,8,
4) Osziągo (Reduta),
5) Karszelówna (ZPM — Daugawpils),
6) Miż-Miszynówna W. (ZPM — Daugawpils).
- sztafeta 4x60: 1) Reduta — 35,0,
2) Harfa — 35,2,
3) ZPM (Daugawpils) — 36,3.

SKOKI:

- wzwyż: 1) Wagulowiczówna (Reduta) 1,40,
2) Wasilewska (Reduta) 1,36,
3) Traczumówna (Harfa) 1,36,
4) Kurszycówna (Reduta) 1,30,
5) Girsówna (ZPM — Daugawpils) 1,20,
6) Rudewiczówna (Harfa) 1,20.
- w dal: 1) Traczumówna (Harfa) 4,35,
2) Winczówna (ZPM — Liepaja) 4,06,
3) Wagulowiczówna (Reduta) 4,05,
4) Wasilewska (Reduta) 4,02,
5) Drodowska (ZPM — Daugawpils) 4,01,
6) Rudewiczówna (Harfa) 3,92.

RZUTY:

- kulą: 1) Dukalska (Reduta) 7,53,
2) Miż-Miszynówna W. (ZPM — Daugawpils) 7,40,
3) Wasilewska (Reduta) 6,96,
4) Bulowa (ZPM — Rezekne) 6,81,
5) Wagulowiczówna (Reduta) 6,46,
6) Kłygulówna (ZPM — Juchniki) 6,30.

- dyiskiem: 1) Miż-Miszynówna W. (ZPM — Daugawpils) 26,80,
2) Traczumówna (Harfa) 25,49,
3) Dukalska (Reduta) 24,64,
4) Wagulowiczówna (Reduta) 23,55,
5) Girsówna (ZPM — Daugawpils) 18,48,
6) Traczumówna (Harfa) 17,63.

- oszczepem: 1) Dukalska (Reduta) 21,64,
2) Miż-Miszynówna W. (ZPM — Daugawpils) 20,95,
3) Wagulowiczówna (Reduta) 20,88,
4) Wasilewska (Reduta) 16,00,
5) Rudewiczówna (Harfa) 15,45.

PUNKTACJA ZESPOŁOWA KOBIEC

- 1) Reduta 167,5 punktów
2) ZPM — Daugawpils 66,5 „
3) Harfa 47,5 „
4) ZPM — Liepaja 26 „
5) ZPM — Juchniki 9 „
6) ZPM — Rezekne 3 „

II. KOSZYKÓWKA

- 1) Spotkanie ZPM (Liepaja) — Harfa zakończyło się zwycięstwem Harfy w stosunku 21:16 (pierwsza połowa — 10:10).
2) Spotkanie ZPM (Daugawpils) — Reduta zakończyło się zwycięstwem Reduty 99:6 (pierwsza połowa — 94:4).
3) Spotkanie Reduta — Harfa zakończyło się zwycięstwem Reduty 39:22 (12:7 i 27:15).
I miejsce — Reduta,
II miejsce — Harfa.

III. SIATKÓWKA

Dla panów

- 1) ZPM (Daugawpils) — ZPM (Rezekne) 2:1 (8:15, 15:5, 15:2).
2) Harfa — ZPM (Łudza) 2:1 (15:3, 15:2).
3) ZPM (Liepaja) — ZPM (Kraśława) 2:0 (15:8, 15:12).
4) Harfa — Reduta 2:1 (15:3, 6:15, 15:10).
5) ZPM (Liepaja) — ZPM (Daugawpils) 2:0 (14:16, 12:15).
6) Harfa — ZPM (Daugawpils) 2:0 (15:3, 15:4).

- I miejsce — Harfa,
II miejsce — ZPM (Daugawpils).

Dla pań

- 1) Harfa — Reduta 1:2 (15:9, 6:15, 9:15).
2) Harfa — ZPM (Daugawpils) 2:1 (15:7, 14:16, 15:10).
3) ZPM (Daugawpils) — Reduta 2:1 (8:15, 15:10, 15:11).
Nie rozegrane.

IV. PIŁKA NOŻNA

- 1) Spotkanie Reduta — ZPM (Rezekne) 4:3 (dla Reduty).
2) Spotkanie Reduta — Harfa 3:1 (dla Harfy).
I miejsce — Harfa,
II miejsce — Reduta.

PUNKTACJA OGÓLNA

- 1) Reduta 871,5 punktów
2) Harfa 160 „
3) ZPM — Daugawpils 149 „
4) ZPM — Rezekne 77 „
5) ZPM — Liepaja 44 „
6) ZPM — Juchniki 9 „

juchnickiej, kraśławskiej i jelgawskiej, którzy startowali w ramach III-go Święta Sportu Polskiego w Łotwie — koleżeńskie uznanie.

Zarząd Główny Związku Polskiej Młodzieży w Łotwie.

Prezes (Włodzimierz Ilnatowicz)
Sekretarz (Bolesław Leonowicz)

Zarządu Głównego ZPM

strowi Franciszkowi Charwatowi, Panu Konsulowi Stefanowi Ryniewiczowi oraz Redakcji tygodnika „Nasze Życie”.

Za ufundowanie nagród indywidualnych gorąco dziękujemy Panu Konsulowi Tadeuszowi Buynowskiemu, Państwu Talat - Kielpszom i Państwu Molenom z Rezekne, Panu Jerzemu Brycowi z Daugawpilsu, Polsko-Katolickiemu Stowarzyszeniu „Harfa” oraz filjom daugawpilskiej, liepajskiej, łudzkiej i kraśławskiej Związku Polskiej Młodzieży w Łotwie.

Za ufundowanie nagród indywidualnych uczestników Święta Sportu serdecznie podziękowanie składamy Pani Dyrektorce Talat-Kielpszowej oraz Pani Kierownicy Hejkinowej.

Wszystkim miłym sympatycznym gościom, zwłaszcza tym, którzy przybyli zda-

leka na III-cie Święto Sportu, oraz całemu społeczeństwu miasta Rezekne za liczne przybycie i życzliwy stosunek do naszej wielkiej imprezy — z serca płynąca podzięk.

Władzom administracyjnym i bezpieczeństwa za przychylny stosunek do Święta Sportu — Bóg zapłać.

Zarządowi filji rezekneńskiej Związku Polskiej Młodzieży w Łotwie na czele z prezesem filji kol. Michałem Erdmanem za sprężyste utworzenie miejscowego Komitetu Organizacyjnego oraz wszystkim aktywnym członkom filji rezekneńskiej za wydatną pomoc organizacyjną — wyrażamy koleżeńskie uznanie.

Wszystkim czynnym sportowcom „Reduty”, „Harfy” oraz filji daugawpilskiej, liepajskiej, rezekneńskiej, łudzkiej,

Pod znakiem III-go Święta



Winiaw — pierwsze miejsce w biegu na 800 m.



Winczówna — pierwsze miejsce w biegu na 800 m.

Wanda Ihnatowiczówna

Olimpiada w Rezekne

Daugawpils, w sierpniu 1936 r.

W szereg brzydkich dni, w których było jesiennym spowodu deszczów, wpłynęły nagle dwa cudowne letnie i wesołe, a prawie tak niespodziewane, jak uśmiech na starczej, zwiędłej twarzy. I prawie tak miłe.

W te blaski i ciepło przystroiło się Rezekne na Święto Sportu Polskiego. Rozstępnęło się niebo, może ubłagane przez kogós, a może i z własnej inicjatywy przez daleko posunięte poczucie gościnności. Dość, że na placu ASK panowało zupełne lato, która to okoliczność ogromnie się przyczyniła do uświetnienia uroczystości sportowych.

Słowem — udało się. Oprócz wielkiej ulgi jest w tem stwierdzeniu dużo dumy niewiadomo jakiej, że przecież mogło się nie udać, a udało się. I płynące stąd zadowolenie jest własnością każdego uczestnika Święta, każdego widza. I duma może rozpierać każde piersi. Udało się!...

Dziś już znowu jest pochmurno, brzydko, zimno i nieprzychylnie, ale tem jaśkrawiej na tak niemilem tle uwypuklają się przeżyte wrażenia.

Były różnorodne i kolorowe, jak niespodzianki, które przetrwały widowisko. I okazało się naraz, że jednak para oczu to nie jest wcale dużo i że przydałaby się umiejętność rozdawania się. Mogłoby się być naraz w dwóch miejscach boiska i podziwiać nie tylko rzuty dyskiem pań, ale i pchnięcie kulą panów. A tak to wciąż trzeba było z czegoś rezygnować, wciąż ubolewać, że się tego lub owego nie widziało.

A patrzeć było na co. Nic dziwnego. Z całej Łotwy zjechały się przecież pol-

skie asy w sporcie. I święto było nie tylko świętem, ale i sprawdzianem całorocznych postępów, widownią rekordów. Właśnie rekordów i to nawet bez cudzych słów. Bo cóż to kogo może obchodzić, że na Olimpiadzie w Berlinie rekordowcami nazywają się wyniki niemal dwa razy lepsze! Na naszym Święcie panują skromniejsze wymagania i większa wyrozumiałość. Bo to, zresztą, jasne, że świat może wyszperać ze swoich zakątków niejednego fenomena, a na mniejszym szmacie ziemi, jakim jest państwo, jest więcej ludzi przeciętnych i zdolnych raczej do normalnych wysiłków.

Ale o tych wysiłkach niech mówią ludzie bardziej kompetentni, mnie obchodzi samo Święto, jego forma zewnętrzna. Ze się odbyło i że było ładne.

Ożywiło się Rezekne od najazdu sportowców i pewnie każdy jej mieszkaniec wiedział, że przyjechali. Może tylko nie każdy wiedział, kto przyjechał i poco. W każdym razie Rzeżycanie tak dobrze znają swoje miasto i swoich ludzi, że nic w tem dziwnego, iż zaciekawili ich obcy element.

Idę sobie np. samopas ulicą, a tu jakaś dziewczowja semickiego pochodzenia zaczyna mnie i wnikliwie stwierdza, że nie jestem mieszkanką tego miasta, następnie zaś jeszcze wnikliwiej zgaduje, że pewnie pochodzę z Daugawpilsu. Zaskoczona i troszkę niezadowolona odburkuje, że równie dobrze mogą być z Łudzy, Liepaji czy Rygi i, nie potwierdziwszy jej mniemań, odchodzę. Ale ostatecznie ta wcibskość nie jest taka niemila. Rezekne jest ciekawe. Dlatego może boisko ASK mieściło tylu widzów. I stosunek ich do sportowców nie był obojętny, a pełen życzliwości lub złośliwi, zależnie od tego, czy dany zespół potrafił sobie zjednać sympatję tłumu, czy nie. Sympatja ta wyrażała się hałaśliwie w okrzykach i oklaskach, ale za to okrutny był widz, gdy mu coś się nie podobało — wygwizdywał bez miłosierdzia zespół, który na antypatję jego zasłużył.

Dzięki temu przez całe półtora dnia panował na boisku gwar, w którym tętniło życie swoim najszybszym tempem. Przez okrzyki i oklaski przedzierały się od mikrofonu słowa informatora, gdzieindziej torowały sobie drogę wzruszone domysły na temat, kto pierwszy przybiegnie lub kto najdalej rzuci dyskiem.

Słowem napięcie. Takie największe, jakie można sobie wyobrazić. Masę wzruszeń przeżywa nie tylko sportowiec, co siłą woli opanowuje w sobie wątpliwości czy aby przeskoczy te metr siedemdziesiąt i całym wysiłkiem rwie się w górę, ale i widz, w którym znajdują odblask wzruszenia tego, na którego patrzy i strach za niego i ciekawość, czy też przeskoczy. Serce robi kilka szalonych warjacji, człek się krztusi wzruszeniem. To ci dopiero emocja! Z tem wszystkim jest dobrze i można ogromnie się cieszyć, gdy jednak przeskoczy, albo przybiegnie pierwszy do mety. A wtedy się trzeba wzruszać za tego, który przybiegł drugi, a później za tych dalszych i wreszcie napięcie słabnie,

żeby za chwilę znowu się wznieść i skryształizować w pytaniu: która z nich rzuci najdalej?

I tak wkołko. Naprawdę wspaniałe widowisko miałby wnikliwy obserwator, który, izolowany od wszelkich wzruszeń, umiałby nie tylko podpatrywać i podsiłuchiwać, ale i czytać z ludzkich twarzy, ile się uczuć po nich przewija, jak w kalejdoskopie! I przy żadnym niema czasie się zatrzymać, bo zaraz nadbiega następne. Nie sposób też wszystkich wypadków i wrażeń pozierać do kupy. Nie sposób odtworzyć wszystkimi i skleić z nich możliwą całość. Są fragmenty. Po uszeregowaniu ich można stwierdzić, że były ładne, że warto było to wszystko oglądać. Że warto było się wzruszać.

Trzeba stwierdzić, że dla Rezekne było to święto nielada atrakcją. W ciche, unormowane życie rzeżycykie wlał ten cały polski sport ze swoimi rekordami i kazał się wzruszać, zbierać wrażenia i zasuszać je aż do następnego wypadku, gdy znów miasto rozbrzmiewać będzie gwarem od „najeżdźców” na święto dozynek. Miło wyglądało „zainteresowanie się” sportem maluczkich, co to otwierali gębusie, spoglądając, jak duzi, o wiele od nich więksi chłopcy i dziewczęta, wykonywali niezrozumiałe dla nich misterja.

Widziałam jak jakieś chłopię umieszczało się na drzewie rosnącym za ogrodzeniem boiska i wdzięcznie rozciągnięte patrzyło zgóry ciekawymi oczkami na wy czynny sportowców. A w jego minie malowała się aproba i zadowolenie.

Niespodziankę tylko niemilą zrobila woda, na której brak wiecznie choruje Rezekne. I teraz się okazało, że w rzecz jest tak jej mało, iż zawody kajakowe ani pływani nie mogą się odbyć. I liczna gromada niedoszłych widzów zebranych



Miż-Miszynówna W. — pierwsze miejsce w rzucie dyskiem

na brzegu musiała się rozejść bez wzruszeń.

W drugim dniu zawodów po skończeniu widowiska i po zamknięciu kasy znalazli się jeszcze ciekawi, którzy wtargnęli, by widocznie łapać echa cudzych emocyj.

A miała Rezekne niespokojną noc, bo bo w promieniu tych ulic, gdzie się zatrzymali sportowcy, rozbrzmiewała polska mowa i pieśń, rzemopolif fortepjan, grzmiał elektryczny patefon. Wszystko umilkło nad ranem. I te pierwsze ranne poranne wniosły „najeżdźców” wymęczonych i niewyspanych. Uwiozły ich ze święta w codzienność...

Sportu Polskiego w Łotwie



Wagulowiczówna — pierwsze miejsce w biegach (60 m., 100 m.) i w skoku wzwyż

Witold Massan

Moje refleksje

Rezekne, w sierpniu 1936 r.

Słońce świeciło w najlepsze, gdy pociąg, którym jechaliśmy, wpadł na dworzec rezekneński.

Gromada sportowców wysypała z pociągu na peron. Ruszono w wesołym nastroju, gdyż pogoda zapowiadała się doskonałą.

Miasto sprawiło miłą niespodziankę.

Masa zieleni, niby wielobarwny kołaczec przetykany gęsto czerwienią dachów, szeroko rozrzucała się wzdłuż obu stron toru kolejowego.

Ci, którzy jechali poraz pierwszy do Rezekne, byli przygotowani na najgorsze. Okazało się, iż obawa była przedwczesna. Miłe miasto. Chociaż ulice nawet w niedzielę wydają się być zupełnie puste, to jednak wspaniałe otoczenie drzew może zastąpić szum i gwar tłumów. Zresztą, jest to kwestja przyzwyczajenia. Jednym się podoba nieustanny harmider, innym znowuż spokój.

Czuło się, że Święto Sportu, sprawdzając taki tłum sportowców i widzów z całej prawie Łotwy, ożywiło senne ulice miasta.

Na boisku

Prawie odrazu po przyjeździe ruszono na miejsce szlachetnych, bezkrwawych walk. Boisko mogło być nieco lepsze, jak twierdzili sportowcy, mający poza sobą starty na innych zawodach. Bezsprzecznie, biegnia okazała się gorsza niż na berlińskiej Olimpiadzie, ale dostatecznie dobra jak na nasze, nieco skromniejsze, warunki.

Odrązu po defiladzie, w której wzięli udział wszyscy zawodnicy, przystąpiono, prosto z mostu do zawodów.

Pod znakiem dyskwalifikacji

Rozpoczął się istny dzień pracy dla biorących czynny udział z zawodach i dzień pełen emocyj dla widzów.

Biegi panów, pań, skoki wzwyż, w dal i inne cuda wytrenowanych ciał zmieniały się z szybkością, na którą nie stać nawet słynnemu murzynowi Owens'owi. Okrzyki, dopingujący faworytów, przesywały spokój miasta i zapewne dolatywały aż do Daugawpilsu.

Na bieżni, raz poraz rozlegał się strzał

i chyże ciała mknęły do upragnionej mety.

W powietrzu migały nogi i różnokolorowe spodnie. Niesamowity, przeraźliwy krzyk publiczności i — spokój. A potem rozlegał się głos spikera, powiadamiający o wynikach.

Przy mecie natomiast niespokojna gromadka panów ze stoperami zawzięcie sprzeczała się z głównym Sędzią.

Co ten biedny męczennik miał kłopotów! Pożal się Boże! Nic dziwnego, że w rezultacie nerwy ludzkie nie wytrzymały i musiały jakoś ulżyć sobie.

Dyskwalifikacja — groźba, którą posługiwać się trzeba było wobec nieco kramarnych zawodników — stała się w ręku sędziego straszną bronią, przed którą drżeli nawet nie mający wspólnego ze sportem.

Kilku niezadowolonych twierdziło, że to jest inkwizycja hiszpańska w tłumaczeniu generała Franco. Ale fakt faktem — groźba poskutkowała. Po chwilowym chaosie zapanował wzorowy porządek. Tylko sędzia nie mógł odnaleźć utraconej równowagi duchowej. Trudno, ktoś powinien się poświęcić dla dobra ogółu.

Pogotowie lekarskie pracuje

W trakcie zawodów zdarzyło się kilka małych katastrof. Pech przesładował kobiety. Szczególną sympatją obdarzył zawodniczki z Daugawpilsu. Znana niegdyś sportsmenka podczas gry w siatkówkę zraniła nogę. Szkoda, bo miała przed sobą start na sto metrów. Mogła zwyciężyć. To samo przydarzyło się z jej koleżanką, doskonałą zawodniczką na średnie dystansy. Zwichnięta ręka uniemożliwiła pokazanie dobrych wyników.

Podziwiać należy jej wytrzymałość i odporność na ból. Pomimo zranionej ręki w dalszym ciągu grała w siatkówkę. Może właśnie dlatego zespół kobiecy ZPM (Daugawpils) przegrał ze słabą reprezentacją „Harfianek”.

Pozatem jeszcze kilka drobnych wypadków, które zlikwidowano bez pomocy pogotowia, wywarły chwilowo nieprzyjemne wrażenie.

Długi młodzieniec i bosy biegacz

Największe zainteresowanie wywołało spotkanie w finale koszykówki „Reduty” z „Harfą”.

Poprzednie zwycięstwa Harfy w siatkówce były przewidywane przez wszystkich. Reduta, niestety, pomimo wykazania wielkiego postępu, nie mogła jednak stawić czoła lepszemu technicznie zespołowi Harfy.

Natomiast w koszykówce Harfiarzom przyszło ulec po nierównej walce.

Wiele śmiechu wywołała wśród publiczności wysoka, szczupła postać Reduciarza, który spokojnie wylapywał wysoko idące piłki. O całą głowę był wyższy od najwyższego.

Mówiono, że Reduta sprowadziła go z Berlina. Prostu pożyczyla go od Amerykanów, których zawodnicy w koszykówkę przewyższali wszystkich wzrostem. Ale to nieprawda. Jest to wyrób krajowy. Ogromny wzrostem i, niewiadomo, może nawet kryjący w sobie zdolności do

biegów, mógłby z czasem być dobrym długodystansowcem.

Już drugi rok z rzędu próbują tego dokazać zawodnicy z Juchnik występując przeciwko Mazurowi. Stało się już tradycją, że biegi swoje odwalają boso. Podobno wygodniej tak. Ale, niestety, bez lepszych wyników. Jest wytrzymałość i wszystkie dane do zwyciężania, ale nie ma kołców...

Umarł król — niech żyje król!

Tak krzyczą tłumy. Niegdyś sławni zawodnicy, na których stawiano 1 przeciwko 10 zawiedli na całej linii. Oczekuje ich los bożyszcz mających się ku schyłkowi. Ludzie oklaskują rekordy — a więc nie dziwnego, że powoli starsi oczynają tracić na popularności.

Tlum ubóstwia siłę, zrećność i, oczywiście, zwycięzcę. Gdy Szmelinga było — mówiono o nim z pogardą. Lecz gdy pokonał nokautem słynnego Louisa — odzyskał na nowo sympatje rzeszy ludzkiej.

Dopóki faworyci zwyciężali, dopóty liczone się z nimi. Teraz zaś, po utracie pierwszych miejsc, zeszedli na dalszy plan. Zaćmiły ich nowe gwiazdy. Trzeba się z tem godzić. Takie prawo rządzi światem. Zarówno Paulukiewicz, młodszy Czechowicz, jak też Wagulowiczówna, Miż-Miszynówna i Kurszycówna cieszą się teraz popularnością. Będzie to trwało tak długo, aż pewnego razu zjawia się nowi zawodnicy. Pokonają ich, zadając tem samem cios. Mit niezwyciężonych rozprysnie się jak bańka mydlana. Świat nie stoi na miejscu. Wypadki toczą się szybko naprzód, każdy dzień oddala nas od naszego wczoraj. Wciąż idziemy naprzód, wciąż walczymy. Raz zwyciężamy, to znowu jesteśmy pokonani. Sztuka jest zwyciężać zawsze. Nikt tego nie dokonał. Nawet genjusz Napoleona musiał ulec. Aby jaknajdłużej odwlec chwilę porażki trzeba się zawsze do niej szykować. Oczekując na nią będziemy mogli zawczasu zauważyć skąd ona do nas się zbliża. W ten sposób można jej uniknąć bardzo długo.

Sportowiec wie doskonale, że jedynie treningi mogą zapewnić mu zwycięstwo. Biermy przykład z Japończyków, w których drobnych ciałach gnieździ się potężna wola do pracy, zapewnijająca w przyszłości wygraną.

Nagrody... Nagrody...

Na III-ciem Święcie Sportu Polskiego w Rezekne „Reduta” zdobyła następujące nagrody: nagrodę Światowego Związku Polaków z Zagranicy dla najlepszego zespołu sportowego Polonji lotewskiej — poraz 2-gi, nagrodę Posła RP. w Łotwie ministra Charwata dla najlepszego zespołu kobiecego poraz pierwszy, nagrodę ministra Charwata za bieg sztafetowy pań 4×60 — poraz pierwszy, nagrodę Związku Nauczycieli Polskich w Rydze za bieg sztafetowy dla panów 4×100 — poraz 3-ci, nagrodę inż. Czajkowskiego z Rygi za koszykówkę panów poraz 3-ci, nagrodę dra Łeckiego za 5-ciobój zespołowy poraz 3-ci.

3 nagrody otrzymała „Harfa” — mianowicie: nagrodę Stowarzyszenia „Warta” za siatkówkę panów — poraz pierwszy, nagrodę Polskiego Stowarzyszenia Akademickiego za najlepszy zespół pingpongowy — poraz pierwszy, oraz nagrodę ministra Beczkowicza za piłkę nożną poraz pierwszy.

Poza tem nierozegrana została nagroda Konsula Buynowskiego dla najlepszego zespołu w sporcie wodnym, gdyż z powodu zbyt niskiego poziomu wody w rzece Rezekne zawody kajakowe i pływackie nie mogły się odbyć. Nie przyznana również została żadnemu zespołowi z trzech startujących nagroda Redakcji „Naszego Życia” za siatkówkę pań. Sporną pozostała kwestja nagrody konsula Ryniewicza dla najlepszego zespołu Łotwy północnej.



SPRAWY GOSPODARCZE



Porady Starego Rolnika

Rośliny uprawne, tępiące perz

Zanieczyszczona perzem ziemia stanowi prawdziwe utrapienie zarówno dla właścicieli ogrodów, jak i dla rolnictwa. Walka z tym chwastem w okresie wegetacji roślin uprawnych jest bardzo uciążliwa i daje minimalne wyniki, a hodowle, prowadzone na roli zaperzonej, z reguły będą słabe i ubogie w plonach. Usuwanie rozlogów perzu po zwolnieniu pola z pod upraw, a więc jesienią i wczesną wiosną, pociąga za sobą znaczny koszt, jako praca ręczna, którą, dla osiągnięcia pełnego rezultatu, należy w najbliższym okresie powtarzać.

To też możliwość zwalczania perzu przy pomocy roślin uprawnych, które nietylko od niego nie ucierpią, ale jeszcze przyczynią się do radykalnego wytopienia, powinna być skwapliwie wykorzystana przez wszystkich właścicieli gruntów, zanieczyszczonych tym upartym chwastem.

Na glebach cięższych i gliniastych, zasobnych stale w znaczne zapasy wilgoci, na bielicach, dobrze uprawnych torfach i sapach (ciężkich glebach, wilgotnych glinach) wielkie usługi w tępieniu perzu oddaje **gorczyca** uprawiana często w rolnictwie na paszę zieloną lub na kiszonki zimowe dla inwentarza, albo też na zbiór nasienia, które stanowi cenny surowiec przemysłowy.

Wielką zaletą tej rośliny jest szybki wzrost: już w ósmym tygodniu od daty zasiewu daje gorczyca dobry pokos zielonej paszy, dzięki czemu można ją wysiewać bądź po żniwach, jako poplon ścierniskowy (np. po życie), bądź też w kwietniu i w maju na sprzęt lipcowy. Na paszę trzeba kosić gorczycę wcześniej, zanim zakwitnie, gdyż starsza ma łodygi lykowane i twarde, mniej smaczne. Natomiast gorczyca młoda jest bardzo chętnie przez bydło zjadana: podana jednak w nadmiarze, wpływa na jakość mleka, powodując jego specyficzny (sobie właściwy) zapach i smak, pochodzące od olejku gorzyczanego.

Wysiew gorzycy na nasienie uskutecznia się z wiosną, do końca maja; plony wynoszą od 8 do 12 q z hektara co, przy dość wysokich cenach i stałym popycie na ziarno gorzyczne w przemyśle, daje dobre zyski.

Dla tępienia perzu można siać gorczycę od kwietnia do jesieni. Zasiew musi być gęsty, najlepiej przeprowadzony podwójnie, na krzyż, licząc 20-22 kg. nasienia na hektar pola. Ponieważ chodzi tu o to, aby gorczyca szybko się podniosła i bujnym porostem zdużyła perz, trzeba więc zwrócić baczną uwagę na przygotowanie roli pod zasiew gorzycy. Dobra uprawa mechaniczna i duże zapasy naturalnej wilgoci są warunkami zawsze przez gorczycę wymagane. Poza tem pamiętać trzeba o żyzności gleby, szczególnie o

nawożeniu azoto-potasowem. Dodatek soli potasowych jest zwłaszcza ważny przy uprawie gorzycy, jako późnego poplonu, który na tym nawozie pięknie pójdzie.

Na gleby suchsze i uboższe w składniki nawozowe dla tępienia perzu polecana jest roślina zbożowa — **gryka**, tataraka, hreczka, która doskonale rozrasta się na wszelkich nowinach, karczunkach, ziemiach płytkich i niedawno wziętych w uprawę. Udać się zresztą prawie wszędzie, bojąc się trzech rzeczy: gruntu podmokłego, nadmiernego nawożenia i zimna. Z tego ostatniego względu wysiew gryki najlepiej przeprowadzać dopiero z końcem maja, kiedy już miną obawy nocnych przymrozków i chłodów i siać jeszcze przez cały czerwiec, jako poplon po wcześniej sprząniętych uprawach. Nasienia wychodzi przeciętnie około 85 kg. na hektar przy siewie rzędowym i o kilkanaście kg. więcej przy rzutowym. Rola pod zasiew winna być dobrze spulchniona płytą podorywką, a zasiew przywalowany.

Gryka jest w gospodarstwie rozmaicie użytkowana. Na wyrób mąki i kaszy, a więc na ziarno, sieje się przeważnie odmiany gryki brunatnej lub szkockiej, srebrzystej, bardzo plennej. Poza tem gryka, zwana tataraką, daje dobrą paszę, o dużej wydajności masy zielonej, która może być spasana na świeżo, albo też jako słoma, rżnięta na sieczkę. Niekiedy, przy skarmianiu gryki latem, w upały, wystę-

pują u owiec i bydła białej maści objawy zapalenia skóry; choroba ta nie jest jednak groźna i po przetrzymaniu inwentarza w zaciemnionej stajni oraz przerwaniu karmienia gryką — szybko i bez następstw ustępuje.

Wreszcie gryka jest rośliną wybitnie miododajną. Kwitnie powoli i bardzo długo, kolejno rozwijając drobne, białe kwiateczki, z których pszczoły mają doskonały pożytek. Miód hreczany, ciemniejszy i ostrzejszy w smaku od innych miodów, jest szczególnie dobry na wszelkie przetwory, a w okolicach, gdzie dużo się gryki, pszczelarze wywożą nawet ule na pola, aby ułatwić jaknajwiększe zbiory nektaru.

Te wszystkie własności gryki, obok wielkiej zalety tępienia perzu i zagłuszenia wszelkich innych chwastów trwałych, stawiają tę roślinę w rzędzie najpożytejszych upraw dla gleb ubogich i mało wyrobionych.

Kulawizna owiec. Choroba ta powstaje wskutek nadmiernej wilgoci. Jest to zapalenie racic. Chore owce należy oddzielić od zdrowych i trzymać je oddzielnie w suchym miejscu, zmieniając często podściółkę. Kopyta wysmarować oczyszczonym dziegciem. Aż do wyleczenia zupełnie owiec nie należy wypędzać na pastwisko.

Na szerokim świecie

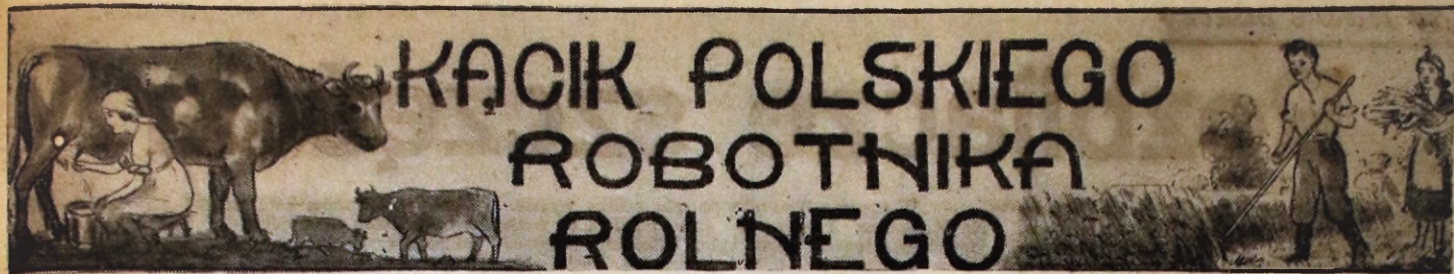
Niektóre dane statystyczne, dotyczące rolnictwa francuskiego. Przytaczamy kilka cyfr, które wykażą, jak ciężkie i trudne jest położenie rolników francuskich, co zmusza ich do bardzo wyczerpującej walki wprost już z egzystencją. Za pszenicę np. otrzymywał rolnik francuski w r. 1930 — 167 franków, w r. 1935 — 75 franków. Za owies 44 franków, zamiast 82, jak przed pięciu laty. Produkcja mleka spadła z 12 na 7 miliardów; ogólne straty rolnictwa francuskiego oblicza się na 5 miliardów franków. W r. 1915 obszar nieuprawny wynosił 3.700.000 hektarów, w ubiegłym roku doszło do tej liczby jeszcze 2.990.000 ha.

Z ogólnej ilości wyprodukowanego mleka we Francji oddaje się 29.480.000 hl na potrzeby inwentarza domowego, 42.000.000 hl jako mleka pitego, 49.000.000 hl na przeróbkę masła, 19.600.000 hl na przeróbkę sera. Ogólna produkcja wynosi 140.000.000 hl.

Uprawa pszenicy w Czechosłowacji. W Czechosłowacji istnieje monopol zbożowy, tak, że nie tylko ceny, ale i rów-

niez rozmiar produkcji reguluje rząd. Rozporządzenie rządowe z dnia 20 lipca 1935 r. przewidywało ograniczenie obszaru uprawnego pszenicy o 8%. Jak obecnie wynika z danych czechosłowackiego urzędu statystycznego, zarządzenie to nie zostało wykonane, bo np. obszar uprawy pszenicy ozimej zmniejszył się tylko o 1,5%.

Ryba sygnalizująca trzęsienie ziemi. Sławni badacze przyrody są zajęci obecnie studiami nad pewnym gatunkiem ryby, które posiadają tę właściwość, że prawie z sekundową dokładnością sygnalizują trzęsienie ziemi. Zauważono, że pracujące one o wiele lepiej, niż najczulsze instrumenty, ponieważ okazują się czule na ledwie dające się uchwycić fale elektryczne. Stwierdzono, że w przestrzeni 2.000 km od jądra trzęsienia ziemi, ryby te zdradzają duże zdenerwowanie, jeszcze przed nastąpieniem samego trzęsienia ziemi. Posiadają nadzwyczaj subtelny i delikatny system nerwowy oraz muskularny, który powoduje tak szybkie i na tak długą odległość wycucie zbliżającego się niebezpieczeństwa.



Władysław St. Reymont

W niedziele

Była niedziela — cichy, opajęczony i przesłoneczniony dzień wrześnieowy.

Na ściernisku, tuż za stodołami, pasł się dzisiaj cały inwentarz Borynowy, a pod brogiem wysokim i pękatym leżał Kuba, dawał bacznie na inwentarz i uczył pacierza Wikte; często pokrzykiwał na niego albo i zasie szturchał biczyskiem, bo chłopak mylił się i latał oczami po sadach.

— Bacz, coć rzekłem, bo to pacierz! — upominał poważnie.

— Dyc baczę, Kuba, baczę.

— To czegój ślepiasz po sadach?

— Widzi mi się co są jeszcze jabłka u Kłębów...

— Zjadłbyś! A sadziłeś je to, co? Powtórz „Wierzę“.

— Wyście też nie wywiedli kuropatwów, a wzieniście całe stado.

— Głupiś! Jabłka są Kłębowe, a ptaszki Panajezusowe, rozumiesz!

— Aleście je wzieni z dziedzicowego pola...

— I pole jest Panajezusowe. Hale, jak madra! Powtórz „Wierzę“.

Powtarzał prędko, bo go już kolana bolały od klęczenia, ale nie ścierpiał...

— Widzi mi się, co żróbka idzie w Michałową koniczynę! — krzyknął, gotowy do biegnięcia.

— Nie hój się o żróbkę, a patrz pacierza...

Kończył wreszcie, ale już nie mógł wytrzymać, przysiadł na piętach, wykręcał się na wszystkie strony a zoczywszy bandę wróbli na śliwkach, śmignął w nie grudką ziemi i śpiesznie bił się w piersi.

— A ochfiarowanie to zjadłes kiej ulegalke, co?

Powiedział ochfiarowanie i z wielką ulgą wziął się do śpiącego Łapy i jął z nim baraszkować.

— Ale gził się cięgiem będzie, kiej ten cielak głupi!

— Poniesiecie dobrodziejowi ptaszki?

— Poniesę...

— Spieklibym w polu.

— Spiecz se ziemniaków. Co mu się zachciwa!

— Idą już do kościoła! — zawołał Witek, spozstrzegając przez płoty i drzewa migające czerwone zapaski na drodze.

Słońce wygrzewało niezgorzej, że wszystkie okna i drzwi chałup powywierano naprzestrzał; gdzie niegdzie pod przyzbami myto się jeszcze, gdzie znowu czesano i zaplatano warkocze, gdzie wytrępywano świąteczne szmaty, zmięte całotygodniowym leżeniem w skrzyniach, gdzie już wychodzono na drogę, że raz wraz niby maki czerwone, niby georginje

zółte, co dokwitały pod ścianami albo te nagietki i nasturcje — tak szły kobiety, strojne, szły dziewczyny, szły parobcy, szły dzieci, szły gospodarze w białych kapotach podobni do ogromnych żytnich snopów, a wszyscy dążyli wolno ku kościołowi drogami nad stawem, któren niby misa złota odbijał w sobie słońce, aż oczy raziło.

A dzwony wciąż biły radosnym głosem niedzieli, odpocznienia, modlitwy.

Kuba czekał, aż przedzwonią, ale że nie mógł się doczekać, schował pęk ptaków pod kapotę i rzekł:

— Witek, jak wydzwonią, spędź bydło na obór i przychodź do kościoła...

Władysław St. Reymont (1869—1925) jeden z największych współczesnych powieściopisarzy polskich napisał wiele nowel (krótkich opowiadań) i powieści; z nich najpiękniejszą i najlepszą, za którą dostał od Szwedów słynną nagrodę Nobla, są „Chłopi“ (w 4 tom.).

Listy... Listy...

Szanowna Redakcjo!

Uprzejmie proszę o umieszczenie tych parę słów moich na łamach naszego pisma w „Kąciku Polskiego Robotnika Rolnego“. Dziękuję bardzo za artykuł umieszczony w numerze 88-ym „Naszego Życia“ w „Kąciku Polskiego Robotnika Rolnego“. Radują się serca, że znajduje się więcej takich ludzi, którzy przyczyniają się do powstrzymania, za pośrednictwem naszej jedynej ukochanej gazety w Łotwie, naszych koleżanek oraz kolegów od niemoralności, która przynosi nam tutaj hańbę i wstyd. Uzupełniając artykuł

Starego Bartłomieja w Nr. 88, apeluję gorąco do koleżanek i kolegów o wzięcie do serca tych parę słów, rzuconych za pośrednictwem ukochanej naszej gazety, i proszę o opiekę nad takimi koleżankami, które już są na drodze do złego, ażeby powstrzymać ich od dalszego amoralnego postępowania na obczyźnie, bo jest to bardzo i bardzo smutny objaw.

Najlepsza rada na to, zdaniem mojem, to zaprenumerować gazetę „Nasze Życie“, która jest w Łotwie jedyną matką i doradcą w naszych żmudnych zajęciach, a z pewnością po przeczytaniu takiej gazety otworzą się oczy u niejednej koleżanki i niejedna zrozumie swoje słabe i złe strony i przypomni swoich biednych rodziców, których zostawiła tam w domu i pocieszy ich choć kilku słowami swego listu. Więc koleżanki i koledzy — strmy do walki z amoralnością.

Wasz kolega A. Walukiewicz.

NABOŻEŃSTWA DLA POLSKICH ROBOTNIKÓW ROLNYCH W ŁOTWIE

W niedzielę 30-go sierpnia b. r. od rana do południa nabożeństwa, spowiedź, komunja św. etc.

w kaplicy w Rujena (Briwibas iela 20)

w kaplicy w Sloka

w kościele w Jaunjelgawie

w kościele w Cesis (Pałasta iela 9) o godz. 11.30 rano.

Zwracamy uwagę, że w Cesis nabożeństwa dla robotników polskich odbywają się stale co niedziele



Już się żniwa skończyły...

Co w trawie piszczy

Rozbijacze szczęścia

Dziwny ten naród na Bożym świecie. Nikomu dogodzić nie można. Wszystko źle i niedobrze. Wszyscy źli i niedobrzy. Da żeby tylko ludzie jeszcze. Zrozumieć możnaby było. Ale ot i zwierzę człowiekowi dogodzić nie może. Już zdaje się co zwierzę — stworzonko Boże. Bez rozumu, bez woli. Kotek ot taki mały, jakiniebądź szarynki, albo raby. A ile to wrogów u niego! Nie mówię już psy. Ale i ludzie. Drugi tak przejść mimo nie może, żeby kotka takiego ręką, nogą a nie to i palką nie zjeździć przez grzbiet. A już jak nieczem ściobnąć nie może, tak choć dzikim głosem zakrzyczy, a kotyńka taki, szarynki albo i raby jaki, chodu wtedy daje: ogon do góry, sam jakby rozpuchnięty, ile sił w nogach na drzewo, albo do dziury jakiej. I czemu to tych biednych kotków nie lubię. Ot zwykła sobie gadzina Boża. Szarynka jakiniebądź, albo raba. No wielka mi rzecz, jeśli tam kotlet jaki z kuchni świnię, albo marcować po nocach zacznie. Radjo też nie raz nie dwa po nocach marcuje, a nikt jego palką nie bije. Musi być swojego szkoda, a cudzego, które najbardziej dokuczliwe, tak straszno. Do turmy mogą posadzić. A kotków tak i swoich i cudzych. Wal jak w beben. No rozumiem, można pogńiewać się, odłupić ściertką jaką, jeśli przed Wielkanocą, cielecinę ze święconego tobie wyżre. Ale żeby tak, na wiek wieków się rozłościć?! Pomysłisz: kotek — i aż rzewność za przylek cię bierze. Łagodny taki. Poglądzić można, pobawić się. A jak dziatki są w domu, tak i tym zabawka wesoła i rozrywka jest. I pożyteczne to. Ciągnie sobie dziecina kota za ogon i zoologii pogładowej się uczy. A że tam kotek potem po kątach paskudzić zaczyna — tak wielką mi rzecz! Wyczyścić można. A że pachnie? Cóż, nie samymi perfumami i wodą kolońską człek żyje.

Ot tu niedawno. Przedwczoraj, musi, albo we środę. Idziem my z Heńką Pluszem po ulicy. O tych Frankach rozmawiamy, co to rewolucję w Hiszpanji robia. Rozmawiamy, kłócimy się. Wiadomo, Heńka gorący. Do mordy mnie skacze, że niby ja nie mówię jak w gazetach jest. Dochodzi mi do mostu. Raptem mój Heńka zamilkł, jakby mu jadaczkę kitem zaszpaklowali. Patrzę, co jest. A on przykucnął. Do filara na moście się skrada. Hop! Cości złapał. Patrzę, kotyńka. Taki biały, puszysty. Sierść ogromniasta. Ja kiś, kiś — podchodzę, gładzić zaczynam. A kotek wystraszony. Oczy wybałuszył. Serce tak i pika. Heńka śmieje się. A w oczach u niego błyski takie jakieś ułedobre.

— „Tak ty też kotków lubisz?” — pytam.
— „Ty ot zaraz zobaczysz jak ja ich lubię” — mówi i hyc kotka przez poręcz do rzeki. Kotek tylko łapy rozczapurył, ogonem machnął i plusk do wody. Mnie aż serce zamario. Patrzę. Wynurzył się, płynie. Wylał na brzeg. Aż oczy przetrzałem. Kotek, a niby nie ten sam. Ten, którego Heńka rzucił gruby taki był, puszysty. A na brzeg wylał maleniczki, chudziński, jakby ze skóry obłupiony. Płaski taki — przy samej ziemi. Potem jak nie prychnie i szmyg do bramy. A Heńka stoi i rechocze, aż za brzuch się trzyma.

Popatrzyłem na niego z wyrzutem.
— „I nie wstyd ci, Heńka! Dorosły człowiek, a jak puika jaki. I jeszcze się śmiejesz!” — oburzyłem się.

Heńka spowaźniał. Spojrzał na mnie raz i drugi.
— „Nienawidzę” — zamruczał.
— „I co on tobie zrobił? Kielbasę wykradł? Kanarków twoich zjadł? Jeśli zjadł, to i dobrze zrobił, cały dzień życia nie dają. A tobie, bratku, wstyd. Dwadzieścia pięć lat stuknęło, a ty kotów do rzeki rzucasz dla dabawy!”

— „Nienawidzę ściertwów!” — huknął Heńka. — Nienawidzę, szczęście mi rozbili, parszywe zwierzy! Takby czortów wszystkich wziął i powystrzelał. Że też takie paskudztwo ludzie trzymają. Brr! Choroba!”

Patrzyłem oniemiały. Skąd taka nienawiść?! Co ma kot do szczęścia?! Heńka sapał, a potem znów zaczął mówić:

— „Ot patrz. Deszcz leje. Błoto po kostki. A ja bez kaloszków. Myślisz frant? Dlatego? Nie bratku! Ja już z tych lat wyrosłem. A ot przez przekłete koty przychodzi się buty rozbijać, katar łowić. A zachorujesz, tak i dojrzyć niema komu. Pamiętasz — w zaprzyszłym roku żenić się miałem... — Z Łodzią... Jeszcze potem wszyscy się dziwili, co i czemu jak z tej żeniaczki nic nie wyszło. Mleczalem. A teraz powiem czemu: koty, przekłete koty.”

— „Opowiedz” — proszę.
Coś tam mrucał groźnie pod nosem, ale zaczął.

— „W zaprzyszłym roku ta cała sztuka wyszła. Na Wielkanoc. Pierwszego dnia poszedłem do znajomych wizytować. Błoto było. Włożyłem kalosze. Byłem u Sikorskich, u tych u drugich. Posiedzisz. Zakąsisz. Wódki jakiej wymyślniej ściobniesz. Pod wieczór już od Bibasów wychodziłem. Na wzdowdu troszkę byłem po tej całej sztuce. Myślę, do Łodzi trzeba zajść, znaczy do — narzeczonej. Patrzę, a tu majtki u mnie całe w piłści. U Bibasów kot był. Ja jego i gładziłem i na kolana i kici, kici... żeb jego ciężka grypa! No, wyczyściłem majtki. Ubrałem się. Włożyłem kalosze. Idę. Radosny taki. Wszystkoż do narzeczonej idę. Przychodzę. Tam już gości pełno, jak i we święta. Jest i inżynier z fabryki, gdzie Łodzi ojciec majstrem, z żoną. Skaczą wszyscy koło niego. Mnie koło żony posadzili. Siedzę. Szyneckę z chrzanem wtrajam. Inżynierową rozmową zabawiam. A tu pani inżynierowa kręcić się zaczyna. Nosem pociąga. Marszczy się. Zrozumieć nie mogę. Komplementy nie podobają się, czy co? Próbuje jak umiem najlepiej. Nie pomaga. Wreszcie wstaje ta pani inżynierowa i męża do domu ciągnie. Trzymają, zapraszają. Nie pomaga. Odprawdzamy do przedpokoju. Czemu? Co tak prędko? A pani inżynierowa jak nie palnie na wychodnem:

— „Kotem tak śmierdzi, że nie mogę.”

Wszyscy nosem pociągają. Faktycznie, śmierdzi. Wachać co, gdzie. U nich że w domu kota od urodzenia nie było! Okazuje się odemnie śmierdzi. Gdzie ja tam i zapach. Mnie jakby kto w mordę dał. Odrazu humor zginął. Wychodzę. Zegnają oziębłe. Na schody wybiega Łodzi. Łzy w oczach. Mówi, żeby nigdy ani się ważył przyjść. Kotem śmierdzą. Ojcu nieprzyjemności na służbie mogą wyjść, bo pani inżynierowa... Żeby nie śmiał przyjść. Mnie i chmiel przeszedł. Wlokę się do domu i wciąż myślę skąd kotem. Domyślić się nie mogę. Całą noc nie spałem. Zarty?! Narzeczone przepędziła tak nie do spania. Na rano wkładam kalosze. Patrzę coś ciemnego w jednym. Nachylał się. Śmierdzi. Odrazu wszystko jasne się zrobiło. To u Bibasów cholera ta — kici, kici — do kalosza mnie zrobiła. Kalosze przez okno wyrzuciłem. Buty do pieca — też śmierdziały. Chciałem

biec do Bibasów kota zabić i ich złać. Błoto, w sztybetach nie pójdziesz... Terazbym poszedł, bo od tego czasu kaloszy nie noszę, żeby gdzie znów przytrafunku nie było. A kotów nienawidzę. Wszystkichbym zabił. Za moje szczęście małżeńskie, za moje kalosze! Parszywe zwierzy!!

Heduk.

Do albumu przyjaciół

— „Wiesz, toż on zadziera nos! Nie wziął mego papierosa! A jak spotkał Heńkę Plusza, A sam szedł z jakąś dziewczuchą, Której szeptał coś na ucho (Heńka nie witał się pierwszy, Gdyż ten od Heńki nie lepszy)”

— „Co ty mówisz! Co ty powiesz! Nie to jest podły człowiek! Nastaw tutaj ucho przedej, Coś ci powiem o nim więcej! Przecież on jest oszukaniec I łotr wielki i zaprzamięcl Onegdaj w czasie kolacji Spotkałem go w restauracji, „Dziendobry” mu powiedziałem, „Sweiki” na to usłyszałem!!!”

— „Co ty mówisz! Co ty powiesz! Jak to jest podły człowiek.”

Od jednego do drugiego Wiesz o tej podłości biega, Od miasteczka aż do miasta Idzie i wciąż się rozrasta. Gdy przychodzi do stolicy Wwołuje biel na licach I rąk ludzkich wielkie drzenie, Wywołuje — ostupienie! Bo przedwczoraj zwykły chłopak, Dzisiaj wygląda wręcz naopak! Jest złoczyńcą, rozbójnikiem, Jest wisielcem, rozpustnikiem, Hańba i zakała rodu, Którą tępić trza zamłodu!...

Heduk.

HUMOR

Stasio, literat, skarży się przyjacielowi:

— „Gdy piszę do późna w nocy, później nie mogę zasnąć.”

— „Na to mam radę”

— „Jaką?”

— „Przeczytaj poprostu jeszcze raz, to co napisałeś.”

— „To prawda — powiedział słynny kompozytor, że starość ma wiele ujemnych stron, ale to jest jedyny sposób jaki wynaleziono, aby żyć długo.”

W szkole zjawia się jakaś kobieta z wielkim młotkiem.

— „Czego pani chce?” — pyta pobladła nauczycielka.

— „Chciałabym zabić ten gwóźdź w ławce, który mój Grześ ciągle rozdziera sobie spodnie.”

Francio siedzi w autobusie i ma zamknięte oczy. Wchodzi jego przyjaciel i nachyla się ku niemu.

— „Co to? Może ci niedobrze z gorąca? Dlaczego masz zamknięte oczy?”

— „Nie mogę patrzeć jak kobiety stoją w autobusie.”

Kino „Progress” (Marijas iela 7)

Od 31 sierpnia b. r. na ekranie:

KRONIKA ŁOTWY:

Jesteśmy narodem, który pracami i zdobyczami udowodnił odwagę, siłę i wytrzymłość

Cud nad Wisłą

Historyczny polski film

odtworzący historyczną polsko-rosyjską bitwę nad Wisłą i polskie wybitne postacie historyczne, biorące udział w tej bitwie.

W filmie występują: marszałek Józef Piłsudski, gen. Żeligowski, St. Wojciechowski, rumuński król Ferdynand, marszałek Foch, gen. Józef Haller, obecny prezydent Ignacy Mościcki, marszałek D'Esperi. Ponadto w filmie tym są uwidocznione najwspanialsze momenty z życia narodowego i armji Odrodzonej

Harry Hill

Polski

Anna Sten

„GŁOS DŻUNGLI”

PONADTO „NANA”

Początek w niedzielę o godz. 5-tej. W godz. od 11 do 12 — 50% zniżki.